ŚWIAT ZWIERZĘCY



Rok I **Warszawa** **Nr. 7 i 8**

:-: :-: :-: **Lipiec — Sierpień 1929 roku** :-: :-: :-:

Cena 1 złoty.
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Nr. 7 i 8 Warszawa — 1929 — Lipiec — Sierpień Rok I

Świat Zwierzęcy

MIESIĘCZNIK

ORGAN POLSKIEJ LIGI PRZYJACIÓŁ ZWIERZĄT

Adres Redakcji: Hoża 37 m. 4
Tel. 34-75

Adres administracji: Al. Szucha 7
Tel. 59-32

*„Obojętnych na niedolę zwierząt
i ludzka niedola nie wzruszy".*

Janina Maszewska - Knappe.

WSZECHŚWIATOWY KONGRES TOWARZYSTWA OPIEKI NAD ZWIERZĘTAMI

— W Wiedniu, jednej z piękniejszych i milszych stolic Europy, odbył się, w dn. od 12 — 17 maja kongres, poświęcony idei ogromnej doniosłości kulturalno-etycznej, idei, która jako uzdrowienie zwyrodniałych instynktów ludzkich, opanowuje dziś z wielką mocą cały świat, *humanitarnej idei opieki nad zwierzętami,* temi tętniącemi myślą i uczuciem istotami, które stanowią najpiękniejszy element wszechświata, a które, niekiełznana wieki całe, zła moc ludzka uczyniła swemi ofiarami.

Jak potężnem zagadnieniem natury moralnej stała się walka z zakorzenionem barbarzyństwem i okrucieństwem względem zwierząt; jak palącą kwestja oczyszczenia dusz ludzkich z ohydnej zmazy krwawych, okrutnych krzywd, przez wieki zadawanych bezbronnym, niewinnym istotom, które zarówno z ludźmi zaludniają glob ziemski i narówni z ludźmi z matki-ziemi powstały, dowodzi, coraz szersze kręgi zataczający, humanitarny ruch w kierunku jaknajradykalniejszej walki z okrucieństwem względem zwierząt, oraz potrzeba roztoczenia jaknajsurowszej opieki nad niemi i ujęcia w ostre paragrafy prawne stosunku tych dwóch światów — ludzkiego do zwierzęcego.

Trzeba było być teraz w Wiedniu, aby zrozumieć duchową moc tej idei i aby przed pięknem jej czystej potęgi schylić pokornie czoło, to, kainowo plamione przez wieki całe, czoło człowieka - okrutnika.

Trzeba było ujrzeć te zwarte szeregi wybitnych przedstawicieli cywilizowanych narodów całego globu ziemskiego, *tych delegatów wszystkich kulturalnych ras ludzkich, reprezentowanych przez ich elitę umysłową, rekrutujących się z ludzi, stojących w swoich społeczeństwach na wyżynach pracy społecznej lub naukowej,* którzy lądy przebyli i morza przepłynęli, aby ramię przy ramieniu stanąć mocnym szeregiem dla pionerstwa humanitarnych swych idei, ażeby pojąć, że stoi się wobec wielkiej, u nas, niestety, niedostatecznie przez ogół umysłów objętej sprawy. Sprawy rozbudzenia sumienia i potężnej potrzeby jaknajszybszego uzdrowienia instynktów ludzkich, jako samoobrony społecznej ludzkiej.

Trzeba było stanąć oko w oko z tymi ludźmi, dosłownie ze wszystkich zakątków globu ziemskiego przybyłymi, aby zrozumieć całą potęgę tej idei, *oraz potrzebę tej idei, jeżeli ona taką potęgą się stała.*

Bo ręce krwią niewinną zmazane, czy to z ciała zwierzęcego czy ludzkiego wytoczoną, krwi się potem nie boją, a pałką, którą się strzaskało niewinny czerep zwierzęcia i ludzką czaszkę również łatwo strzaskać potem można.

Przybyli zatem na ten kongres do Wiednia delegaci Tow. Op. nad Zwierzętami ze *Stanów Zjed. Ameryki Półn.* (ze stanu Ohio i Pennsylwanji, z miast: Newark, Boston, New-Jersey, Filadelfji) *z Ameryki Południ.* (a Argentyny: Buenos - Aires; Uruguay'u: Montevideo); *z Australji* (z miast: Sydney, Melbourne, Brisbane oraz z Nowej Zelandji (New-Plymonth), *z Kanady* (z miast: Victoria i Regina); *z Indji* (Singapore); *z Chin* (z Pekinu); *z Japonji* (z Tokio); *z Indji Zach.* (z miasta Trinidad, na wyspie Kubie) *oraz ze wszystkich,* z wyjątkiem Bolszewji, krajów europejskich *z księżną Hamilton z Londynu,* założycielką Międzyn. Wystawy Humanitarnej w Genewie, *oraz pierwszym prokuratorem Francji, p. Louis Lespine z Paryża, na czele.* Polska reprezentowana była przez Warszawę i Łódź przez Delegację Polskiej Ligi Przyjaciół Zwierząt w Warszawie, oraz Tow. Ochrony Zwierząt w Łodzi.

W przeddzień uroczystego otwarcia zjazdu, w sobotę dn. 11 maja odbyło się o godz. 8 wiecz. w salonach hotelu Münchnerhof, zebranie towarzyskie, które miało na celu zapoznanie się wzajemne i zbliżenie przybyłych delegatów. Już na tem zebraniu zarysował się triumf Polski. Członkowie prezydjum zjazdu z godną uznania bezstronnością podkreślali na nim humanitarną wartość polskiej ustawy o „Ochronie Zwierząt" i obecność delegacji Polsk. Ligi Przyj. Zw. z Warszawy, oraz red. Janiny Maszewskiej - Knappe, jako autorki referatu „Walka o duszę i prawa zwierzęce", wyróżnionego przez Komitet Organizacyjny, jako jedynej pracy z licznie zgłoszonych o zakresie filozoficzno - historycznym, obejmującej

całokształt tego zagadnienia poprzez wieki rozwoju świata aż do doby dzisiejszej. Zebranie w wyjątkowo serdecznym nastroju przeciągnęło się do 1-ej po półn.

W niedzielę zaś, dn. 12 maja nastąpiło o godz. 10 rano, w pięknej sali kasyna oficerskiego (Schwarzenbergplatz 1), uroczyste otwarcie zjazdu. Słowo wstępne wygłosił prezes Zjazdu oraz wiedeńskiego Tow. Ochrony Zwierząt, Dr. E. Melkus. Zaznaczyć tu trzeba, że Dr. Melkus jest osobistością wyjątkowej wartości intelektualnej. Prawnik z wykształcenia, świetny finansista, jest poważnym filarem austrjackiego Min. Skarbu i dźwiga finanse Austrji, jak o nim mówią w Wiedniu, z zadziwiającym rozumem i mocą. Jako wieloletni, czynny prezes wiedeńskiego „Tierschutzvereinu" (Tow. Op. nad Zwierzętami), położył w tej dziedzinie olbrzymie zasługi i rozwinął działalność tej humanitarnej placówki na całą Austrję; prowadzi wzorowe schronisko dla bezdomnych zwierząt i był nietylko inicjatorem obecnego kongresu, ale i przez cały czas jego trwania niestrudzonym przewodniczącym. Dr. E. Melkus włada wszystkiemi europejskiemi językami i ze zdumiewającą swobodą zwracał się do różno - językcznych delegatów w ich mowie ojczystej. Po krótkiem, gorącem powitaniu obecnych oraz ciała dyplomatycznego, które się stawiło in corpore, Dr. Melkus oddał głos *Prezydentowi Rzplitej Austrjackiej — W. Miklasowi.* Przemówienie to, które było właściwem otwarciem kongresu, ujęte w piękną formę słowa, zasługuje na specjalną uwagę. Prezydent Miklas bowiem podkreślił w niem przedewszystkiem niesłychaną moc i piękno humanitarnej idei, która nietylko grupuje w swoich licznych szeregach zastępy najbardziej wartościowych jednostek społecznych obecnych narodów kulturalnych, ale jest jedyną ideą świata, która bratersko łączy wszystkie nacje — *będąc w założeniu swem apolityczną, apartyjną, areligijną — czerpiąc jedynie źródło swej siły ze źródła najwznioślejszej miłości — miłości do wszystkiego, co żyje, jest słabe i ludzkiej pomocy potrzebuje...*

„Wiem, mówił p. Prezydent Miklas, (obejmując wzrokiem delegację z Polski), że oto tu, na tym zjeździe, staną ze sobą oko w oko przedstawiciele narodów, ponad któremi ciężyły do niedawno ciężkie, przeszło stuletnie, dziejowe porachunki. Lecz wiem, że ludzie ci tutaj podadzą sobie bratersko dłonie i że serca ich bić będą zgodnym rytmem w obliczu wielkiego dzieła, które prowadzą, oraz w imię najczystszej i najświętszej idei, miłości, która ich tu przywiodła".

Słowa prezydenta Miklasa znalazły życiowe potwierdzenie w niespełna 24 godz. potem. Kiedy bowiem wśród entuzjastycznego ze strony słuchaczy przyjęcia, jako delegatka P. L. P. Z. z Warszawy, miałam zaszczyt wygłosić mój referat: „Walka o duszę i prawa zwierzęce", w którym, przebiegłszy zagadnienie duszy u zwierząt, od zarania rozwoju myśli ludzkiej, aż do doby ostatniej, oraz krzywą stosunku ludzi do zwierząt, oświetliłam w końcu obecny stan rzeczy w tej dziedzinie w Polsce, podkreśliłam doniosłe znaczenie etyczne i kulturalne P. L. P. Z., jako placówki społecznej oraz omówiłam szerzej humanitarną ustawę o ochronie zwierząt naszego Pana Prezydenta Rzplitej Polskiej, która stała się fundamentem pracy Ligi, na ręce moje zaczęły potem napływać kartki ze słowami uznania od słuchaczy różnych narodowości, z których jedna zwłaszcza ma niezwykle ideowe znaczenie.

Pochodzi ona bowiem od delegatki niemieckiej z Drezna i brzmi dosłownie: *„Heissen Gruss für den Vortrag und das Gesetz... Gott sei Dank, dass Polen nicht verloren gieng". (Gorące słowa uznania za odczyt i ustawę. Bogu niech będą dzięki, że Polska nie zginęła").*

Jakże potężną i krystalicznie czystą moc ma idea, która delegatce niemieckiej do delegatki polskiej takie słowa podyktowała... Powiem więcej. W przerwie pomiędzy wygłaszaniem referatów podszedł do mnie prezes Tow. Op. nad Zw. w Berlinie, generał-major v. Kühlwein. Wysoki, sztywny, szpakowaty, rasowy typ byłego cesarskiego oficera pruskiego, z pociętą rapirami, z czasów swej burszowskiej młodości, twarzą, typowy oficer pruski. Podszedł do mnie z wyciągniętemi serdecznie obydwoma rękami: *„Proszę, rzekł, całując mnie w ręce i schylając nisko głowę, przyjąć moje najszczersze i najgorętsze słowa uznania, tak za wysoce uduchowiony (hochgeistigen) referat, jak i za najhumanitarniejszą ustawę o „Ochronie Zwierząt, z której pani odrodzona ojczyzna może być dumna".*

Patrzyłam mu uważnie, głęboko w oczy. W jednej chwili otoczyło nas grono ciekawych. „Panie Generale, odparłam wolno, nie spuszczając wzroku z jego twarzy, — wierzę głęboko w szczerość pańskich słów i muszę zaznaczyć, że właśnie z pana ust mają one tem większą dla mnie wartość"...

Przez twarz generała v. Kühlweina przebiegła łuna rumieńca. Uścisnął mocno, trzymane w dłoniach moje ręce i poprosił o egzemplarz mego referatu oraz o tekst in extenso ustawy naszej dla opublikowania w odnośnej prasie w Berlinie.

Ustawa nasza, którą zawieźliśmy na Kongres w ilości przeszło 50 egz., (przełożoną na język francuski), jak już zaznaczono w poprzednim numerze „Świata Zwierzęcego", wogóle rozchwytana wprost została przez uczestników zjazdu, referat zaś, wyżej wspomniany, zabrano pozatem do wydrukowania w odnośnych pismach — do Francji, Czechosłowacji a nawet Serbji, do Belgradu.

Około 6 wiecz. tegoż, pierwszego dnia zjazdu, odbył się *pochód* uczestników kongresu przy licznym współudziale szerokich mas publiczności wiedeńskiej, oraz *zastępów zwierząt domowych, prowadzonych przez swoich opiekunów.* Olbrzymi ten, jedyny w swoim rodzaju na globie ziemskim pochód, przesunął się majestatycznie pięknemi wiedeńskiemi Ringami, aż się rozproszył w cieniu zapadającej nocy, przed gmachem wieczornych obrad zjazdu.

Na czele tego pochodu jechali konno jeźdźcy i amazonki, następnie szli skauci oraz orkiestra. Korowód zwierząt otwierały smukłe, wytworne charty, prowadzone na smyczach, które królewsko wiodły zastępy różnych gatunków psów, rasowych oraz najzwyczajniejszych, a tak głęboko cenionych i kochanych przez ludzi serca, za nieskalaną wierność ich duszy psiej — od kolebki świata z życiem ludzkiem zrośniętej nierozerwalnemi węzłami.

I muszę się przyznać, że na ten widok zaczęły powieki moje nabrzmiewać ledwo tłumionemi łzami żalu.

Uprzytomniłam sobie z bólem straszną, nieludzką nagankę na życie i prawa psów w Polsce, tej Polsce, której delegację, za uzyskanie ustawy humanitarnej o Ochronie Zwierząt, tak entuzjastycznie właśnie, w tymże Wiedniu, przyjmowano. Patrząc na zastępy prowadzonych na pochodzie tym psów, mających tam swobodę życia i prawa obywatelstwa, jako nierozłączni współtowarzysze życia człowieka, myślałam ze zgrozą o tępieniu, pomimo całej humanitarności naszej ustawy, tychże psów u nas, pod pozorem jakiejś fikcji wścieklizny, która, zdaje się, ogarnęła niektóre umysły i serca ludzkie u nas a nie rzesze tępionych z zaciekłością istot, które ofiarami swemi uczyniła.

Gdy dnia następnego zwiedzaliśmy z prezesem Mandelskim i bar. Kosińską schronisko dla zwierząt bezdomnych, gdy obchodziliśmy pokoje z dużemi, czysto wysłanemi pomieszczeniami dla psów i kotów, gdy nam pokazano miejsce, przeznaczone na spacer dla nich, gdy nas oprowadzano po kuchniach, w których gotowano właśnie smaczną strawę z ryżu w jednym kotle, a flaków w drugim, gdyśmy się natknęli w łazience z kamienną wanną, na przygotowanie do kąpieli dla świeżo przywiezionego psa, znalezionego na ulicy, przeznaczonem do tego, wysłanem trocinami autem, serca nasze jednocześnie ścisnęły się uczuciem bolesnego przygnębienia. W Wiedniu ohydna instytucja czyścicieli nie istnieje. Wałęsające się, opuszczone lub zagubione psy i koty odprowadza policja lub publiczność na najbliższy posterunek policyjny, skąd je zabiera auto do schroniska. W schronisku tem są one przytrzymywane bez ograniczenia czasu. Najczęściej zabierane bywają przez właścicieli lub nowonabywców. W schronisku tem przebywają również psy i koty, oddawane „na pensjonat", za co pobierana bywa opłata 1 szyling = 50 gr. dziennie, oraz na oddziały szpitalne, o ile są chore. Trzech lekarzy weterynarji, na zmianę, dzień cały tam dyżuruje.

Ciężki smutek przytłaczał nasze serca, gdyśmy ten przybytek rozumu i miłosierdzia ludzkiego opuszczali.

Myśli moje zatrzymały się z głuchym żalem nad tem, co się dzieje u nas, w tej tak ważnej dziedzinie życia gromadnego. Jak bolesna, rozdzierająca duszę wizja, przemknęły mi przed oczami wyobraźni niedobitki psów polskich, tropionych przez czyścicieli i uderzyło mię w serce echo rozdzierającego skowytu złapanych, nieszczęsnych psich ofiar, uwożonych do miejsca tragicznej ich kaźni, echo owego skowytu, pełnego niewysłowionej rozpaczy, który tak często rano budzi mię ze snu nocnego do strasznej rzeczywistości.

I porwał mnie tam, w Wiedniu bolesny bunt. Czy nie przystoi zastanowić się głęboko, że jeżeli chełpimy się spisaną w paragrafy ustawą, iż jest tak humanitarna, to, czy jednak teorja nasza zadaleko od rzeczywistości nie odbiega i czy nie byłoby wskazanem głęboko zastanowić się nad tak obficie i niewinnie wylewaną krwią otaczających nas najlepszych przyjaciół, jakimi są psy.

Wracając do przerwanego opisu pochodu, dodać muszę, że poza psami, brały w nim udział koty, wiezione autami przez swoich opiekunów oraz *wzruszał widok starego konia z napisem* na uprzęży: *„zasłużony emeryt"*. Bo tam wypracowanym oraczom gleby ojczystej, jako ostatni akt ich życia, gardła się nie podrzyna... One mają prawo do emerytury i do zakończenia swego ofiarnego żywota w cichym, stajennym zakątku...

A ponad głowami uczestników pochodu powiewały sztandary z krwawym napisem: *„Precz z wiwisekcją!"*.

* * *

Trzy główne, etyczne motywy wyłaniały się z dyskusji kongresowych, jako jedyne, logiczne fundamenty i następstwa idei ochrony zwierząt:

1. *Prawa zwierząt.*
2. *Walka z wiwisekcją.*
3. *Wegetarjanizm.*

To też rzeczowym, kulminacyjnym punktem rozpraw były naukowe wywody lekarzy i profesorów ze związku antwiwisekcjonistów — jako odbicie, coraz szersze kręgi zataczającego, mocno rozbudzonego na całym świecie ruchu etycznego, wypowiadającego się stanowczo przeciwko ohydzie wiwisekcji. Zwłaszcza mocne stanowisko zajęli w tej kwestji: *prof. chirurg Dr. L. Oehninger z Monachjum*, delegat „Monachijskiego Związku lekarzy i profesorów radykalnej walki z wiwisekcją"; *Dr. med. Magnus Schwantje*, prezes „Związku radykalnej etyki" *z Berlina;* oraz *lekarz weterynarji Dr. Gustaw Mikuschka*, prezes „Wiedeńskiego Związku lekarzy Antiwiwisekcjonistów".

Prof. Dr. L. Oehninger z Monachjum wychodził z założenia, *że przyzwoity człowiek tak samo nie pragnie zawdzięczać swego zdrowia cierpieniom zwierząt — jak swego bogactwa rabunkowi.* Mówca rozważał następnie pytanie, czy można z objawów zwierzęcia, poddanego męczarniom wiwisekcji wyprowadzać wnioski, obowiązujące dla nietkniętego ustroju ludzkiego. Zaprzeczał temu ściśle naukowo, twierdząc ironicznie, że wnioskowanie takie jest równie bezsensowne, jak chęć nauczenia się harmonji na starej katarynce. Dziś już większość znakomitych uczonych wypowiedziała się przeciwko wiwisekcji. Mówca wyraził obawę, że wiwisekcjoniści nie zatrzymają się w swych krwawych doświadczeniach na zwierzętach, lecz przejdą w końcu na takież doświadczenia nad ludźmi.

Praktycznie, zdaniem D-ra Oehningera, można zwalczać wiwisekcję w ten sposób, żeby rozgłaszać nazwiska lekarzy, nie dopuszczających doświadczeń nad zwierzętami *a piętnować nazwiska tych lekarzy i profesorów, którzy wiwisekcję uprawiają.*

Dr. med. Magnus Schwantje, prezes „Związku radykalnej etyki", ruchu etycznego, który jedynie mógłby uzdrowić stosunki społeczne i międzynarodowe świata, ruchu, który jako czynnik odrodzenia moralnego ludzkości powinienby przeniknąć wszystkie dziedziny życia ludzkiego — Dr. Schwantje, jako przedstawiciel tego kierunku występuje niesłychanie mocno i absolutnie *radykalnie przeciwko wiwisekcji.*

Dla ludzi o etyce radykalnej — kompromisów być nie może. Zbrodnia — to zbrodnia. Brud — to brud, krzywda — to krzywda. Kompromisy wszelkie, tak w życiu całych narodów, jak poszczególnych jednostek, to krzywe drogi, wiodące ludzi jedynie na manowce; to krwawe szlaki wojen wszechświatowych.

Muszę zaznaczyć, że zetknięcie się z przedstawicielami tego najnowszego i mocnego kierunku etycznego w dobie obecnej — wycisnęło niezatarte ślady w mojej duszy. Stało się ono punktem zwrotnym moich głębokich przemyślań — w godzinach zniechęcenia i zwątpień rozbłyska mi jak świetlisty drogowskaz, który oby rozświetlił szlaki przyszłości.

Dr. Gustaw Mikuschka, lekarz weterynarji, prezes „Wiedeńskiego Związku lekarzy antiwiwisekcjonistów" podkreślił, że pomiędzy licznemi żądaniami, które przyjaciele zwierząt stawiają dziś całemu światu, wybija się jedno najogólniejsze — *żądanie skasowania naukowych męczarni zwierząt — zabronienie wiwisekcji.* W czasach obecnych, które wypisują na swoim sztandarze postęp i kulturę, w czasach, w których większość państw skasowała karę śmierci nawet za najcięższe i najwstrętniejsze zbrodnie — niema już miejsca na wykonywanie tysięcy kar śmierci nad bezbronnemi zwierzętami, kar, spotęgowanych jeszcze przez poprzedzające tę śmierć, nieopisane cierpienia. Mamy jedno tylko, podług tego mówcy, porównanie z wiwisekcją; są to *tortury średniowiecza.* Ale okres inkwizycji i spalania czarownic ma pewne usprawiedliwienie: ciemnotę i brak kultury... Wiwisekcjoniści bronią swego stanowiska koniecznością wyciągnięcia z męczarni zwierząt doświadczalnych wiadomości dla leczenia chorób ludzkich. Tymczasem fakt, że tysiące znakomitych lekarzy i profesorów medycyny 19-go i 20-go w. są rzeczowymi przeciwnikami naukowego mordowania zwierząt, musi wzbudzić w ludziach bezstronnych ogromną wątpliwość co do rzekomej potrzeby tych zabiegów.

Już samo logiczne rozważanie, pozbawione wszelkiego sentymentu, doprowadza, według poglądów Dr. Mikuschki do wniosku bezwartowości męczarni zwierząt w imię nauki. Pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem istnieją fundamentalne różnice ustrojowe, jak to widać chociażby z budowy narządów wewnętrznych. Z samej tej różnicy wynika według niego, że wnioski, wyprowadzane ze zwierząt w zastosowaniu do człowieka muszą być błędne. Następnie: sztucznie u zwierzęcia wywołane choroby mają przebieg inny, niż choroby, nabyte w sposób naturalny i leczenie ich wymaga innych zabiegów, niż choroby, stopniowo się rozwijające.

Większość wypadków dręczenia zwierząt odbywa się w celu wypróbowania leków i specyfików farmaceutycznych, masami wyrzucanych na rynek światowy. I te próby, według Dr. Mikuschki, nie mają wartości. Działania leków na człowieka i zwierzę ulegają wahaniom w najszerszych granicach, zależnie przytem od gatunku zwierzęcia.

Jeden do dwóch miligramów atropiny zabija człowieka. Na małpy, t. j. na zwierzęta najbardziej zbliżone do człowieka, atropina działa w znacznie większych dawkach, tak samo na konie i osły. Natomiast króliki, świnki morskie, szczury i gołębie są prawie niewrażliwe na atropinę. Psy znoszą do grama atropiny. Kilka miligramów *Hyocyny* wywołuje u człowieka największe objawy zatrucia, gdy psy i koty znoszą 100 — 300 miligramów tego środka.

Nietylko dla farmakologji, lecz i *dla fizjologji*, t. j. nauki o przejawach życia w normalnym ustroju, mówił dalej prelegent, wiwisekcja okazała się środkiem zawodnym. Zwierzę doświadczalne znajduje się w stanie, który nie pozwala na poznanie normalnych zjawisk życiowych. Jeżeli zwierzę nie jest uśpione, to bóle i strach śmiertelny, spowodowany wiwisekcją, powodują zasadnicze zmiany w czynnościach najważniejszych narządów. Jeżeli się chce tych błędów uniknąć przez uśpienie, to środki usypiające: morfina, chloroform i eter powodują jeszcze większe zmiany".

W przemówieniu swojem okazał się Dr. Mikuschka nietylko człowiekiem rozumu, serca i głębokiej wiedzy, ale i człowiekiem, który uczciwie pojmuje swoje powołanie lekarza weterynarji, jako obrońcy praw istot, którym się siłą swego zawodu poświęcił. Gdybyż to ogół naszych polskich panów weterynarzy wstąpił w szlachetne i rozumne ślady przykładu Dra Mikuschki! Gdyby bowiem zechcieli, jak on, pojmować swoje zadanie, jako szczytny obowiązek obrońców i moralnych opiekunów praw świata zwierzęcego, napewno ogrom krzywd i wszelkich okrucieństw względem zwierząt, tępienie bezlitosne psów oraz inne kainowe uczynki, z któremi na każdym kroku u nas tak beznadziejnie walczyć trzeba — nie miałyby miejsca w tak wielkim stopniu. Przy obecnym zaś wszechświatowym prądzie humanitarnym zawód lekarzy weterynarji zyskałby u nas pełne uznanie i szacunek ogółu ludzi myślących, że oto stoją oni na wysokości swego zadania. Niestety, na Międzynarodowy zlot przedstawicieli ochrony zwierząt stanęli w mocnym szeregu delegaci - weterynarze wszystkich narodów, tylko z Polski nie było żadnego. Polskę reprezentowały właściwie delegacje prywatnych związków „przyjaciół" zwierząt, bo tych, którym z samego założenia ich zawodu los zwierząt jako moralny, święty obowiązek powinien leżeć na sercu, tych tam nie było.

* * *

Silne wrażenie wywarło również wystąpienie *Księdza prof. unifersytetu w Grazu, Dr. fil. Jana Ude.* Wegeterjanin od lat 30-tu, obdarzony wielkim talentem kaznodziei, w płomiennej, porywającej mowie piętnował używanie, jako pokarmu — mięsa, jak je nazwał, zamordowanych trupów zwierzęcych. Potępiając najhumanitarniejszy nawet ubój zwierząt, jako gwałtowne przecinanie nici życia w pełni jego zdrowego tętna, dla zaspokojenia łakomstwa podniebienia, *względem uboju rytualnego* nie miał wprost mówca ten dość silnych słów potępienia.

„Jeżeli, wołał, wyznawcy niektórych religji popełniają ten najokrutniejszy mord w imię nakazu Boga, to to nie jest Bóg! Bo Bóg — takiego okrucieństwa nakazaćby nie mógł!".

* * *

Kongres uchwalił 23 wnioski — radykalne, jaknajdalej idące rezolucje, obejmujące możliwie wszystkie dziedziny ochrony praw i życia świata zwierzęcego. Będą one po wydrukowaniu rozesłane z Wiednia do wszystkich delegacji, które brały udział w Kongresie. Omówimy je obszernie w następnych numerach „Świata Zwierzęcego".

Będzie to już obecnie kwestja energicznych zabiegów wszystkich Tow. Ochrony Zwierząt u ich wła-

dzy rządzącej, głębi zrozumienia potrzeby ich poparcia oraz ocenienia doniosłości wcielenia ich w czyn przez czynniki rządowe poszczególnych narodów, aby dzięki im, opracowane na zjeździe *dzieło etyki* pchnęło naprzód świat w kierunku rozwoju idei humanitarnych i nie zapadło się w otchłań zapomnienia. Aby je pył czasu nie zasypał w archiwach wieków, które już nieraz z winy niezrozumienia i ciasnoty horyzontów myślowych, stawały się grobem najwznioślejszych wysiłków poszczególnych jednostek i nie dopuściły do owocowania ich siejby.

Sam jednak fakt, że tak olbrzymi, międzynarodowy kongres się odbył, że przybyli na niego ludzie nieprzeciętnej miary, że poruszono na nim zagadnienia głębokiej etyki i miłosierdzia, sam fakt uchwalenia 23. radykalnych wniosków co do praw i ochrony życia zwierząt — jest wielkiem, chlubnem dziełem.

Na zakończenie kongresu, jak wiadomo, prezes zjazdu Dr E. Melkus podkreślił raz jeszcze działalność Polski oraz Polskiej Ligi Przyj. Zwierząt, stawiając wysiłki jej pracy za przykład innym narodom, oraz uchwalono wysłać depeszę do p. Prezydenta Rzplitej Polskiej, Ignacego Mościckiego ze słowami głębokiego uznania za wydaną przez niego dn. 22 marca 1929 r. ustawę o Ochronie Zwierząt.

Była to najpiękniejsza chwila życia, którą przeżyli delegaci P. L. P. Z. tym razem, jako patrjoci. Jako dzieci Polski odrodzonej, która mogła tam, w Wiedniu wobec przedstawicieli całego globu ziemskiego, podkreślić kulturę i moc żywotną swego ducha i stanąć na czele humanitarnych wysiłków innych narodów.

Usłyszane tam słowa uznania dodały nam siły do dalszego, niezmordowanego pionierstwa na niwie ukochanej przez nas idei. Były nam one wielką duchową nagrodą za dotychczasowe trudy i wysiłki, o ile o „nagrodzie" w służbie idei z miłości i ofiary poczętej — wogóle może być mowa.

A. Geilke
Członek Zarz. Tow. Op. nad Zwierz. w Łodzi.

O WEGETARJANIZMIE

Trzeba mieć dużą odwagę, żeby w dzisiejszych brutalnych czasach występować w imię kultury i sprawiedliwości z zasadami etyki, gdyż naraża to na śmieszność ze strony ogółu, odzwyczajonego od takich wrażeń i bezmyślnie wysnuwającego błędne wnioski.

Wszyscy prorocy, głoszący moralność, trafiali na sprzeciw. Tak było przez tysiące lat, tak jest i obecnie. Pod tym względem kultura nie posunęła się naprzód ani o krok. Brutalny materjalizm stworzył nową moralność, której podstawą jest bezwzględność i brak uczucia. Przed tą ideą ludzie chętnie schylają głowy i nie zadają sobie trudu na rozważanie zawiłych problematów życia.

Natura obdarzyła istoty żywe układem nerwowym, który ma na celu odbierać wrażenia ze świata zewnętrznego, szybko na nie reagować i w ten sposób chronić ustrój od niebezpieczeństwa. Chętnie zgadzamy się na takie tłumaczenie. Niestety jednak, znamy bóle najokropniejsze, odczuwane przez też nerwy, na które ustrój nie może zareagować obroną.

Największą bezwzględnością w stosunku do ludzi i zwierząt odznacza się *monstrum* stworzenia, najżarłoczniejszy i najbrutalniejszy drapieżca — człowiek. Niema w nim ani iskierki litości, gdy chodzi o przyjemne podrażnienie jego podniebienia i języka i zaspokojenie jego łakomstwa. Wtedy kroczy przez trupy. Wyzyskał on słabość i niezaradność zwierząt do ostateczności. Hoduje zwierzęta, żeby je następnie masowo zgładzać ze świata, bez sumienia i zastanowienia, a trupy ich pożerać, tworząc w żołądku swoim dla nich grób — jak to czynią dzikie bestje.

Wyraz „wegeterjanizm" pojawił się około 1845 r. Pochodzi on od wyrazu łacińskiego *vegetare*, co oznacza „ożywiać" (od tego *vegetabilia* — rośliny). Według „Filozofji wegetarjanizmu" F. R. Jackowskiego wyraz „wegetarjanizm" oznacza żywienie się bezmięsne, a także oznacza poszanowanie praw, faktów przyrody, życia i spraw, zachodzących wewnątrz człowieka. Prawdziwy wegeterjanizm jest czynem, zasługującym na wysoki szacunek, jest to sprawa całkowitego człowieka.

Wbrew twierdzeniu trzech największych anatomów wszystkich czasów: *Cuvier'a, Hyrtl'a i Haeckel'a*, którzy orzekli, że człowiek z natury swego uzębienia i długości jelit, stworzony jest do spożywania mięsa, wegetarjanie dowodzą, że pierwotni ludzie żywili się roślinami.

Wegetarjanizm sięga bardzo dawnych czasów. Wyznawali tę ideę już Orfeusz, Pitagoras, Xenokrates, Empedokles, Sokrates, Platon, Apolonjusz z Tjany, Epikur i jego szkoła, Seneka, Plutarch, Plotyn, Porfirjusz i Jamblichus, wizaerowie i ebjoniści, Klemens z Aleksandrji, Bazyli Wielki, Grzegorz z Nazjanzu, Ś-ty Jan Chryzostom, Ś-ty Hieronim, Augustyn, Franciszek z Asyżu, Montaigne, Milton, La Fontaine, Woltaire, Shelley, Nowalis, Ryszard Wagner, Edward Balcer i wielu innych.

W historji stworzenia znajdujemy w I Księdze Mojżesza, rozdział I, 29—31: *„I rzekł Bóg: spójrzcie, dałem wam wszelakie ziele, które się rozsiewa po całej ziemi i wszelkie drzewa owocowe, które dają owoce na waszą strawę...* I spojrzał Bóg na wszystko, co stworzył i przekonał się, że było bardzo dobre." Inną wskazówkę co do żywienia się roślinami znajdujemy w I Księdze Mojżesza, rozdział II, wiersz 16. Ustępy te, niestety, są mylnie zrozumiane i interpretowane przez ludzi płytkich. W religjach narodów, zbliżonych do natury, spotykamy często dowody wegetarjanizmu; wiele pod tym względem zdziałał buddyzm, gdyż całe Indje żywią się roślinami, Budda bowiem zabronił spożywania pokarmów mięs-

nych, a legendy arabskie mówią nawet o pokrewieństwie człowieka z roślinami, zwłaszcza z palmą daktylową.

Wyjątkowo uboga pod względem pojęć w tej dziedzinie jest nauka chrześcijańska. I chrześcijanie i żydzi okazali się szczególnie barbarzyńscy i żarłoczni, a uroczystości ich, jak np. Wielkanoc, są istnemi orgjami mordowania zwierząt. Jean Paul powiada: „Boże sprawiedliwy! *iluż to godzinami mąk zwierzęcych stwarza sobie człowiek jędnę minutę uciechy dla swego podniebienia!*" Początkowo wszyscy chrześcijanie byli wegetarjanami. Według jednego ustępu w księgach kanonicznych, Chrystus po zmarwychwstaniu odmówił spożycia ryby, a w innem miejscu Chrystus i Marja przedstawieni są, jako wegetarjanie. I dziś jeszcze Chrześcijanie upatrują we wszystkiem, co jest ciałem — zło i grzeszność, zjadają je jednak chętnie. Adwentyści w większości żywią się roślinami, twierdząc, że zapewnia im to czystość życia.

Wielu ludzi sądzi, że jarzyny i owoce nie są wystarczającym co do pożywności pokarmem i że ciało oraz duch ludzki a także i siły jego na tem tracą. Jest to pojęcie zgoła mylne, można bowiem dowieść rzecz wręcz przeciwną. Wegetarjanin przyrządza sobie obecnie posiłek na podstawie przepisów naukowych, a w międzynarodowych zapasach sportowych przeważnie wegetarjanie odnoszą zwycięstwo.

Mięso zasadniczo jest ubogie w pierwiastki odżywcze i w witaminy, świat zwierzęcy bowiem żywi się roślinami i witaminy zużywa. Angielski uczony i lekarz Haig dowiódł, że większość chorób jak: gościec, dna, choroby serca, zajęcie więzów, mózgu, narządów oddechowych, przewodu pokarmowego, mięśni, nerwów, skóry, padaczka, udary mózgowe, osłabienia i t. p. wywołane są przez kwas moczowy czyli substancje purynowe i xantynowe, pochodzące z mięsa.

Wegetarjanin pozatem zapatruje się na spożywanie mięsa jako na występek i stawia je narówni z pijaństwem. Ciało bowiem, zarówno człowieka, jak zwierzęcia, po wydaniu ostatniego tchu, staje się trupem, niezależnie od tego, czy śmierć nastąpiła wskuteż wypadku, czy od topora, noża, broni lub wiedzy. Jedynem wtedy odpowiedniem miejscem dla tego trupa jest ziemia, nie zaś żołądek ludzki.

W półmiljonowem mieście, jak Łódź, zjada się rocznie 310.600 sztuk bydła, nadto niezliczone masy drobiu, ryb i t. d. Tysiące zwierząt morduje się ślepo dla egoistycznego człowieka... Czyż on na takie ofiary zasługuje? *Prorok Jezajasz powiada: „Kto zabił wołu, równa się temu, który zamordował człowieka".* .

Cały świat zwierzęcy woła codziennie, chociaż tego nie słyszymy, o pomstę do nieba z powodu okrutnych niesprawiedliwości, nad nim dokonywanych. Spada też za to na ludzkość zapłata w postaci różnych chorób, spowodowanych właśnie spożywaniem owego mięsa. Zabijanie bowiem może być uważane jedynie za najwyższą karę, a za cóż to karzemy tak surowo niewinne istoty, jak to czynimy z najgorszymi przestępcami? Godnem jest przytem podziwu, jak obojętnie nawet członkowie Tow. Op. nad Zw. zachowują się wobec idei wegetarjanizmu, jak mało zastanawiają się nad faktem uboju w rzeźniach, z jakiem zadowoleniem spożywają pikantne potrawy, przyrządzone z ich pupilów! Ludzkość tak zdziczała w swych krwawych działaniach, że dziwnemby jej się wydawało nie jeść mięsa, brutalnie więc i bezkarnie morduje w dalszym ciągu.

Wyraz *„zabijać"* składa się tylko z kilku sylab, a czy kto się nad nim kiedykolwiek poważnie zastanawiał? *Zabijać — jest to zwolna pozbawiać życia istotę żyjącą, która wskutek okropnych męczarni lub nadmiernego upustu krwi nie może dłużej żyć, ponieważ serce, nerwy i ciało przestają funkcjonować.* Jednem słowem, *jest to zamęczenie na śmierć istoty żywej.* Każdy sumienny, głębiej myślący człowiek, powinien wprzód, zanim się wypowie za spożywaniem mięsa, przestąpić próg rzeźni.

Wegetarjanin nie chce zabijać i nie chce, aby witaminy, z roślin dostarczane jego organizmowi, dochodziły go pośrednio, poprzez dzioby, ryje i pyski zwierząt, przeznaczonych na zjedzenie. Wegetarjanin spożywa swój pokarm roślinny bezpośrednio, uważając go za zdrowszy i za apetyczniejszy, niż martwe mięso zwierzęcego trupa. Czy jest jaka różnica pomiędzy gniciem mięsnem a gniciem roślin? W naszym żołądku odbywa się przecież proces gnilny. Jeżeli będziemy rozpatrywali pożywienie pod względem składu chemicznego, to musimy się zgodzić z tem, że każdy pokarm był początkowo rośliną. Zatem wegetarjanin kroczy drogą prostą, spożywając roślinę bezpośrednio, a nie, jak pożeracz mięsa, który ją wchłania w siebie dopiero po przetrawieniu jej przez żołądek zwierzęcy.

Narody starożytne, ażeby uśpić swoje sumienie, że grzeszą przez zabijanie zwierząt, kazały bogom brać udział w swoich ucztach. I dziś jeszcze pożeracze mięsa zapraszają Boga, względnie Chrystusa do swego stołu, zastawionego krwawemi daniami, podczas, kiedy właściwie przywilej zapraszania Boga do swego stołu, powinien być, ze względów duchowych, szlachetnych, udziałem jedynie czystych, nie zbroczonych niewinną krwią — wegetarjan! Nawet bogobojni wegetarjanie, którzy przystępują do Stołu Pańskiego, w dowód odpuszczenia im grzechów, w godzinę potem zasiadają zupełnie spokojnie do swego krwawego stołu, tak daleko bowiem myśl smakoszów nie sięga, aby zrozumieć całą ohydę tego, co czynią. Ci zaś, którzy potrafią myślą wznieść się wyżej, ci wyszukują sobie *prawo* zabijania zwierząt, wynosząc siebie, na zasadzie rozważań pseudo-naukowych na stanowisko władców przyrody i okłamują siebie tem, że władca taki nie może istnieść bez brutalności i mordu. Jeżeli smakosz nadto jest dosyć sprytny, to wspina się na wyżyny swego myślenia i pyta dumnie: cóż stałoby się ze zwierzętami, gdyby ich nie zabijano? Pożarłyby nas przecie! Drobne zaś już zastanowienie się poucza, że przedewszystkiem nie hodowanoby zwierząt, gdyby ich potem nie miano zabijać, a pozostałe zwierzęta zwolnaby wymierały, lub byłyby wytępione przez nienawróconych okrutników, żywiących się nadal mięsem. W podobny sposób, gdy powstały samochody, zapytywano się — co się stanie z końmi? Koni również nie ho-

duje się już w poprzednich ilościach, są wypierane i zwolna wymierają. Wszak zwierzęta, które hoduje się dla spekulacji i zabija, aby je spożyć — ludzi nie zjadają. Nierogacizna, bydło rogate, barany, kozy, jelenie, sarny, kury, gołębie, wróble, ryby i t. p. jak wiadomo, ludzi nie pożerają, natomiast pożerają ludzi dzikie zwierzęta: tygrysy, lwy, pantery, wilki i t. p., których jednak człowiek nie jada. Zresztą, nie dlatego jada się mięso, ażeby wytępić zwierzęta i utrzymać rasę ludzką, lecz tylko dla satysfakcji własnego żołądka.

Pojęcie przeciwstawiane wegetarjanom, że rośliny również są wrażliwe i odczuwają ból, jest hypotezą bardzo kruchą. Żmudne, wieki całe trwające badania, dowiodły zaledwie minimalnego podobieństwa pomiędzy niektórymi narządami ustroju zwierzęcego a roślinnego. Natomiast to, że roślina jest ustrojem całkowicie różniącym się od zwierzęcego, daje się dowieść z łatwością. W ciekawej pracy Raoula Francé p. t. „Życie zmysłowe zwierząt" podany jest pogląd, że roślina obdarzona jest świadomością, natomiast na potwierdzenie tego nie przytoczono ani jednego dowodu faktycznego. Gdyby liczne pojedyńcze osoby nie spożywały mięsa, gdyby idea wegetarjanizmu znalazła głęboki oddźwięk i poparcie w kołach członków Tow. Ochrony Zwierząt, to jednak zarzynanoby daleko mniej ofiar, ten sposób myślenia znalazłby licznych naśladowców, a liczba zwierząt uregulowałaby się, według teorji Darwina, sama.

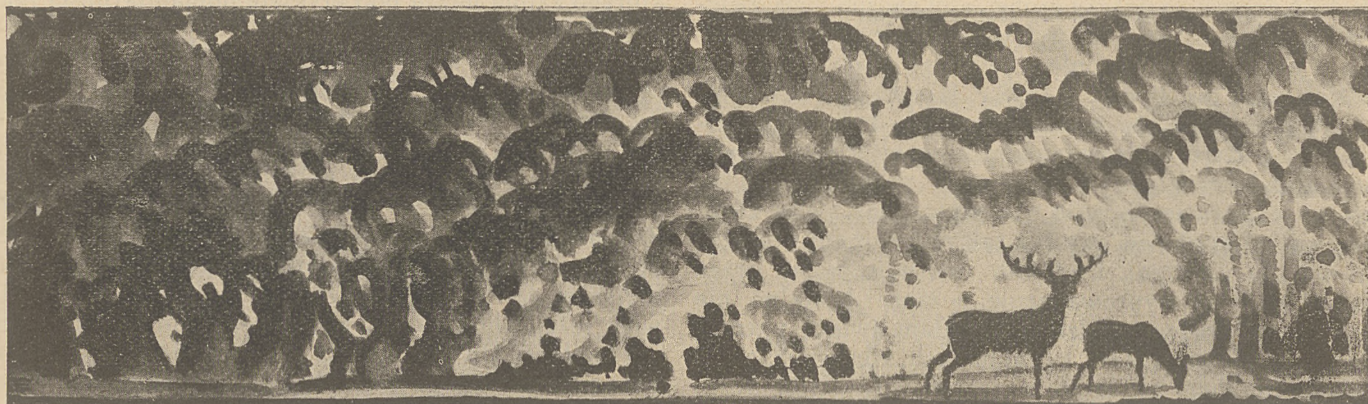
Spożywanie mięsa jest kwestją zakorzenionego przyzwyczajenia; dzieci, naogół pociągu do mięsa nie mają, zmusza się je siłą do niego. Wielu dorosłych odczuwa żywy wstręt do potraw mięsnych, natomiast rośliny jedzą chętnie wszyscy ludzie i nikt do nich wstrętu nie okazuje

Zdarza się niekiedy, że ktoś, co się wymawia od potraw mięsnych, zapada na zdrowiu. Wypływa to stąd, że nie otrzymuje on w dostatecznej ilości potraw, któreby mu niezbędne pożywienie zastępowały. Nad tem, że wegetarjanie z łatwością wynaleźliby surowce, zastępujące w zupełności skórę, róg i t. d. nie mamy się co rozwodzić.

Przekonani wegetarjanie wprost pojąć nie mogą, jak ludzie myślący mogą karmić się mięsem. Tłomaczyć to można jedynie tem, że ludzie mięsożerni mają w sobie jeszcze skłonności krwiożercze oraz, że pragną swemu podniebieniu dostarczyć wielorakich, odmiennych smaków, jak to wogóle ludzie chętnie czynią. Wegetarjanin przytem odczuwa silnie litość na widok zabitego zwierzęcia i stojąc etycznie wyżej od człowieka tuzinkowego, zapatruje się na ciało, jako na coś surowego, na rzecz nieszlachetną, której mu spożywać nie przystoi. Jedynie roślinność, jedynie zielona natura, jest dla niego czysta, tak czysta, że się nią nawet upiększa Domy Boże. Ołtarze nasze stroimy wszak w kwiaty i rośliny, a czy możemy sobie wyobrazić miejsca poświęcone, ozdobione kiełbasą, szynką, głowizną świńską, śledziami i t. p.? Proszę sobie wyobrazić Dzieciątko Jezus wśród kwiatów z kiełbaską w ręku?! Jakaż to różnica pomiędzy wędzonym śledziem, złożonym na ołtarzu a kłosem lub gronem winnem; lub, gdyby podczas Wieczerzy Pańskiej pijano krew żywą, zamiast wina?! Wegetarjanizm, uszlachetniając człowieka, hamuje tem samem i zużywanie alkoholu, któremu tak szczególnie hołdują ci, co jedzą mięso. Ludziom się zdaje, że nie warto ograniczać zła, którego nie można całkowicie wykorzenić.

To, co człowiek ma wspólnego ze zwierzęciem, to jest właśnie zwierzęcość. Czyż nie powinien jednak człowiek stanąć moralnie wyżej?

Tylko on ma rozum twórczy, stworzył sztukę, etykę i estetykę, powinien zatem pielęgnować wszystko, co wzniosłe i czyste. Myśli jego powinny być bezwzględnie piękne i czyste. Wegetarjanizm jest przejawem wysokiej kultury i etyki; jest on logicznym wynikiem idei opieki nad zwierzętami i kładzie kres bezprawiu. Z tego punktu widzenia wegetarjanizm jest nietylko kwestją żołądka, lecz zagadnieniem kultury i z tego względu mamy obowiązek popierać ten prąd. I choćbyśmy sami nie wiele zdziałać mogli, to musimy przyznać, że wegeterjanizm, jako idea, jest ideą wyższą. Przypuszczalnie na urzeczywistnienie idei wegetarjanizmu poczekamy stulecia, gdyż walka ze złem i ciemnotą ludzką jest trudna, *walka jednak jest matką wszechrzeczy.*



Romuald Mandelski
Prezes Polskiej Ligi Przyj. Zwierząt.

UBÓJ RYTUALNY W SWIETLE PRAWDY

— „Nasz Przegląd" z dnia 25 czerwca r. b. podał referat ławnika Dra Z. Bychowskiego, w którym autor występuje w obronie uboju rytualnego, dawno już uznanego za najokrutniejszy sposób uboju bydła.

U innych narodów ubój rytualny jest zupełnie prawie nieznany, (jak np. Szwajcarji, Anglji, gdzie wszak również jest duży procent ludności żydowskiej) i nawet Rosja Sowiecka wydała ostatnio rządowy zakaz tej formy uboju. Na Wszechświatowym Kongresie Tow. Ochrony Zwierząt w Wiedniu, który miał miejsce w maju r. b. uchwalono żądać od czynników miarodajnych tych narodów (jak Polska), gdzie ta forma uboju jeszcze istnieje, rządowego jej zakazu i zaprowadzenia uboju aparatami humanitarnemi, które zabijają momentalnie, tak, że bita sztuka nawet nie drgnie, jak rażona piorunem. Aparaty humanitarne używane są we wszystkich rzeźniach zagranicznych a przedewszystkiem Anglji, Szwajcarji, Belgji, Holandji, Ameryce, zaprowadzają je zaś obecnie w Austrji, Niemczech, Francji i t. d. I oto zainteresowane sfery żydowskie uderzyły w dzwon trwogi w Polsce.

W „Naszym Przeglądzie" zaczęły się więc ukazywać w pewnych odstępach czasu wzmianki o zasadach humanitarnych stosunku ludzi do zwierząt w Starym Testamencie, a ostatnio ławnik, p. Dr. Z. Bychowski, wystąpił publicznie, na posiedzeniu komisji specjalnej dla zbadania zagadnienia rzeźnianego w stolicy z referatem w jawnej obronie uboju rytualnego!

Dziwi nas wielce, że tak poważny lekarz uległ błędnym wyjaśnieniom i wpływowi tych, dla których ubój rytualny ma raczej względy natury finansowej a nie „humanitarnej" lub „sanitarnej", w imię których autor referatu głos zabrał.

Gdyby szanowny pan ławnik raz tylko jeden był w rzeźni świadkiem tego, tak nazwanego przez siebie „humanitarnego uboju" — napewno żadne względy nie miałyby do niego dostępu i nie pokierowałyby nim w takiem niefachowem ujęciu sprawy.

Szkoda wielka się stała, *że komisja specjalna dla zbadania zagadnienia rzeźnianego w stolicy zapomniała o Polskiej Lidze Przyjaciół Zwierząt, której przedstawiciele są doskonale znani p. p. ławnwikom i dyrektorom rzeźni*, gdyż stale informowali w Komisji do tych spraw, co należy zrobić, aby sposób bicia zwierząt uległ zmianie i nie był w zasadniczej rozbieżności z ustawą o „Ochronie Zwierząt", obowiązującą w Polsce od dn. 22 marca 1928 r. (Dz. U. R. P. Nr. 36).

Twierdzenie, że zabijanie metodą żydowską najmniej się kłóci z wymaganiami humanitarnemi, musi wywołać bezwzględny i najżywszy protest u ludzi, którzy naprawdę kochają otaczający nas świat zwierzęcy i budzi obawę, czy już tak nisko upadło pojęcie litości dla zwierząt, brutalnie mordowanych przez rzezaków. Czy wyprowadzenie, a raczej brutalne, nie szczędzące ciosów wpędzanie na zalane świeżą, parującą krwią miejsce rzeźni, przytomnych, zdrowych, oszalałych strachem zwierząt, mających całą pełnię świadomości tego, co się dzieje; następnie zarzucanie na nie pętli, sznura, którego gwałtowne ściągnięcie poprzez nogi zwala nagle całym szalonym ciężarem tak wielkie zwierzę, jak krowę lub byka, na ziemię, że aż ona jęknie, poderżnięcie gardła poprzednio z precyzją wygolonego w pełni samowiedzy zwierzęcia co do zadawanej mu śmierci i kilkuminutowe konanie z upływu krwi — *to jest ubój humanitarny?!*

Czy metodę tę dziś, w wieku daleko posuniętych zdobyczy wiedzy ośmieliłby się nazwać p. Dr. Bychowski również humanitarną, gdyby zaczęto ją stosować w stosunku do zbrodniarzy?!

Panie Doktorze, zdaje się, że wspólnie doskonale znamy podłoże rytuału i wiemy, kto z niego czerpie poważne zyski. Ani dla nas, ani dla Pana nie jest to żadną tajemnicą i dlatego tem więcej dziwi nas takie stanowisko, które Pan zajmuje, Pan, człowiek wiedzy.

Dr. Bychowski twierdzi w swym referacie, że „metoda *kładzenia* (zwalania na ziemię!!) *sztuki nie jest objęta rytuałem żydowskim, który wymaga tylko, aby sztuka była przytomna i nie skaleczona*" oraz pociesza siebie i innych, że *„w kilkanaście sekund po rytualnem cięciu następuje utrata przytomności"!!* Bagatela!

Zarzynanie zatem zwierzęcia w pełni jego przytomności umysłowej (wymagane jednak, jak przyznaje Dr. B. przez rytuał żydowski), zarzynanie takie istoty o wysokim poziomie psychiki, stwierdzonym i uznanym przez najpoważniejszych uczonych świata i badaczy w dziedzinie zoopsychologji i psychologji porównawczej — nazywa Dr. Bychowski „ubojem humanitarnym"! A te *„kilkanaście sekund czasu"*, zanim poderżnięte zwierzę przytomność utraci — czy to czasem nie są dla niego wieki całe męczarni? Wszak wiemy, *jak względne jest pojęcie czasu*, jak minuta, śledzona na zegarku trwa długo, jak bywają sekundy bez końca... A jeżeli dodamy do tego jeszcze błędy, popełniane przez niezawsze wprawnych, a zawsze brutalnych rzezaków, lub cięcia chybione, stępione noże i t. p., co przytrafiać się musi, bo przytrafia się nawet chirurgom, operującym ludzi, wbrew ich najlepszym chęciom, nawet niezbyt rzadko, to przyznać musimy, że owe niby błyskawiczne cięcia są często ohydą niezdarnego zarzynania, są okrucieństwem, którego żadną miarą pod etykietę humanitarności podciągnąć nie można!

Próba naprawdę humanitarnego uboju w rzeźni, aparatem przysłanym z Anglji do Polskiej Ligi Przyj. Zwierząt w Warszawie, była robiona w warszawskiej rzeźni w obecności prezesa zarządu i Dyrekcji rzeźni, przedstawicieli Ligi oraz personelu rzeźni. I cóż się okazało? że młody i silny byk skończył ostatnie drgawki *o 3 minuty wcześniej*, niż to ma miejsce przy uboju rytualnym, a krwawienie po podcięciu mu późniejszem gardła, było równie silne, jak przy rytuale, więc jeżeli chodzi o to, aby mięso było bez krwi, co, jak podnosi Dr. Bychowski jest pożądane „ze względów sanitarnych, gdyż mięso bez krwi może być przez pewien czas higjenicznie przechowywane" — osiąga

się to w zupełności przy uboju aparatem wypróbowanym w Anglji.

Co zaś do kwestji ekonomicznej, to straty na skórze, ściąganej przez rzezaków, są tak wielkie, że stosunek ilości psucia się mięsa do marnowanej skóry, należy lekceważyć. Wystarczy w tym względzie samo oświadczenie Związku Garbarzy, że są zmuszeni sprowadzać skóry z zagranicy, gdyż surowiec krajowy, otrzymywany na miejscu, jest niezdatny do użytku. Bezprzykładny, niesłychany skandal!!

Szkoda, że szanowny p. Ławnik nie badał uboju w b. zaborze pruskim, gdzie rytuał jest minimalny, żydzi bowiem biją tam tym sposobem jedynie dla siebie, a ponieważ dla chrześcijan przytomność umysłu zabijanej sztuki nie jest potrzebna w owym tragicznym momencie, lecz przeciwnie uważają ją za okrucieństwo, dlatego też każda zabijana sztuka jest tam uprzednio ogłuszana.

Rząd w Szwajcarji dawno wydał zakaz rytualnego bicia bydła i nikt tam nawet nie myśli wysuwać takie zastrzeżenia, jakie czyni Dr. Bychowski. *Kongres w Wiedniu, który się odbył przy udziale powag tak lekarzy, jak weterynarzy całego świata*, wypowiedział się z zupełną stanowczością *przeciw rytuałowi, jako zbrodni*, dokonywanej na zwierzętach.

Niech żydzi biją, ale tylko dla siebie, jeżeli to jest tak ważna dla nich kwestja religijna; przez to narazie, chociaż w części, da się zmniejszyć ilość brutalnie mordowanych sztuk. A gminy niech tworzą giełdy mięsne i kasy targowe, co napewno obniży ceny mięsa i pozwoli producentowi bez drogiego pośrednictwa osiągnąć lepsze ceny od obecnych.

Można nam zarzucić, że występujemy przeciw rytuałowi wówczas, gdy trzoda chlewna również w barbarzyński sposób jest zabijana. Niestety, musimy przyznać, że sposób bicia świń jest w rzeźniach warszawskich barbarzyński, ale wina w całości spada za to na Zarząd Rzeźni i pp. ławników.

Od powstania Ligi prowadzimy walkę z barbarzyństwem względem trzody chlewnej i po wyczerpaniu wszystkich środków pokojowych zmuszeni będziemy wystąpić na drogę sądową za dręczenie zwierząt. W rzeźni łódzkiej na żądanie Tow. Op. nad Zwierzętami ubój trzody chlewnej odbywa się aparatem humanitarnym, a rzeźnicy składają ofiary na Towarzystwo w nagrodę za polepszenie jakości baleronów.

Dlaczego w Łodzi można było wprowadzić ten system bez nadzwyczajnych inwestycji? Prawda, dyrektorem rzeźni jest tam nie lekarz weterynarji... sądzimy jednak, że bicie trzody humanitarne nie może godzić w zawodowe interesy.

Tak więc Zarząd rzeźni broni się przed humanitarnem biciem trzody chlewnej, rozsiewając od roku w tej sprawie wiadomości o sprowadzeniu jakoby aż aparatu elektrycznego, którego jednak w rzeczywistości brak do chwili obecnej; zaś obrońcy rytuału żydowskiego również podnoszą larum, bo to zagraża religji izraelickiej, ma znaczenia ekonomiczne i t. d.

Dziwna jest w zasadzie obojętność, czy nieuświadomienie naszego społeczeństwa, które jest najpoważniejszym konsumentem rytualnie bitego bydła. Czas już najwyższy, aby ten najpoważniejszy konsument również zabrał głos, a może, gdy będzie żądał *przedniego mięsa* narówni z zadniem, przestaniemy prowadzić spory o ubój rytualny.

Czekamy!

M. J. Wielopolska.

ECHA ARTYKUŁÓW „O ZBRODNIACH CZŁOWIEKA, O PRAWACH ZWIERZĘCIA I WIWISEKCJI"

Na moje artykuły pod powyższym tytułem, przysłał sprostowanie prof. dr. Fr. Czubalski, kierownik zakładu fizjologicznego uniwersytetu warszawskiego:

— Stwierdzam kategorycznie, że fakt obrzydliwego wprost znęcania się nad zwierzęciem podczas wiwisekcji, o którym wspomina autorka artykułu, nigdy się nie zdarzył i nie mógł się zdarzyć ani na wykładach, ani w zakładzie, którym kieruję. Zasadą, której sam ściśle przestrzegam i czego również wymagam od wszystkich moich współpracowników pod osobistą ich odpowiedzialnością, jest wykonywanie wiwisekcji po całkowitem znieczuleniu zwierzęcia morfiną, chloroformem lub eterem. Jest to więc taki sam sposób usuwania i tłumienia bólu, jaki stosują lekarze w przypadkach dokonywania operacji na ludziach. Wykłady moje corocznie rozpoczynam od zwracania uwagi słuchczom, że przeprowadzanie wiwisekcji, do której niestety w studjach uniwersyteckich jesteśmy częstokroć zmuszeni się uciekać, jest dopuszczalne tylko w przypadkach wyjątkowych, o ściśle określonym celu, nie dającym się inną drogą osiągnąć i to pod warunkiem uprzedniego znieczulenia zwierzęcia. Poglądom tym dawałem i daję wyraz nietylko w słowie, lecz i w piśmie. Nieuwzględnianie tych wskazań w całej rozciągłości przez słuchaczów np. na egzaminie praktycznym, pociąga za sobą natychmiastowe przerwanie egzaminów i zapisanie noty niedostatecznej. Konsekwencją takiego z mej strony stanowiska w omawianej sprawie jest dążenie do najdalej idącego ograniczenia wiwisekcji t. zw. pedagogicznych. W tym celu zakład fizjologji nabył w swoim czasie aparat kinematograficzny, obecnie zaś, pokonując liczne trudności, jesteśmy w stadjum przygotowywania odpowiednich filmów naukowych. Z wyjaśnień tych wynika, że p. Wielopolska padła ofiarą choćby w ujęciu sprawy naiwnej plotki, której prawdziwości przed napisaniem artykułu nie sprawdziła.

Tyle pan prof. Czubalski.

Śpieszę wyrazić radość moją, przedewszystkiem, że długoletnie zabiegi, odezwy, prace, pisma Ligi antywiwisekcyjnej i Ligi przyjaciół zwierząt — tak licz-

ne dziś w Europie, zrobiły swoje. Że dziś nastąpił zdecydowany zwrot wśród lekarzy i fizjologów. Nietylko, że zostały im otworzone oczy na ogrom zbrodni, przez nich dokonywanych, ale, że zaczęli się oni liczyć z opinją laików, że zaczęli się tłumaczyć, że zaczęli się ograniczać w straszliwych eksperymentach, dawniej przeprowadzanych jawnie, brutalnie i bez zawahania. To skonstatowawszy, pozwalam sobie zapytać pana profesora, który również widocznie uległ humanitarnej fali, idącej z Zachodu i z opinją społeczeństwa się liczy — jak wygląda sprawa, gdy naprzykład przeprowadza pan profesor, względnie jego uczniowie, doświadczenie dla stwierdzenia promieniowania bólu? czy doświadczenie nad przemianą materji, czy jakiekolwiek inne doświadczenie, wymagające bezwzględnej i pełnej przytomności zwierzęcia? Wtedy chyba nie może być stosowany chloroform? Przypuśćmy, że w innych wypadkach ów chloroform, który nietyle usypia zwierzę, ile usypia wyrzuty sumienia eksperymentatorów i pozwala im wykonywać niebywałe harce w trzewiach zwierzęcia, że ów chloroform się aplikuje — co się jednak dzieje po obudzeniu stworzenia? Ofiary są męczone tygodniami, miesiącami po operacjach, albowiem operatorowi chodziło, aby się przekonać, jak też dany zabieg wpłynie na dalszą egzystencję zwierzęcia. Taki sir John Rose Bradeford wyjął 39 foksterierkom nerki — jednym w zupełności, drugim po kawałeczku wycinał, coraz więcej i więcej i obserwował miesiącami ich dogorywanie powolne. Cóż z tego, że może pod chloroformem czynił zabieg pierwszy? Cóż z tego, że może pod chloroformem dr. Błażej Bell, słynny wiwisektor angielski, otwierał czaszkę swemu psu, aby mu przeszczepić ropiejący jakiś abces i czaszkę tę potem składał — ale w 98-ym dniu po operacji fotografował to nieszczęsne psię: stworę jakąś, skręconą w kabłąk, na storturowanych konwulsyjnie nogach! Cóż z tego, że może stosował znieczulenie w czasie operacji, kiedy potem kazał zwierzęciu konać w mękach miesiącami!?

My jesteśmy na szczęście ubożsi i nie możemy kosztownych robić doświadczeń, ale w takiej Francji do niedawno panował zupełny obłęd wiwisekcyjny. We wszystkich wyższych uczelniach, szkołach weterynaryjnych, w Sorbonie, w muzeach historji naturalnej — to jedna jatka! A urzędnicy tych zakładów, uczniowie i nawet wykładający, niewiwisekcjonujący, mają nałożony kaganiec. Jeśliby słowo rzekli o tem, co się dzieje, straciliby z miejsca lukratywne posady. Uczniowie nie zdawaliby egzaminów. Pan prof. Czubalski takżeby złą notę dał temu uczniowi, którＹby na jego doświadczenia, dokonywane na zwierzętach, nie przychodził. Pytano owych słuchaczy o „wrażenia". Niektórzy utrzymywali, że ze wstrętem patrzą na te eksperymenty, większość jednak utrzymuje, że ich to „nudzi" i że to zupełnie niepotrzebne i bezcelowe. Czy pan prof. Czubalski może powiedzieć, że znieczula w czasie doświadczeń żaby? Ogólnie się uważa, że ciepło ręki wiwisektora wystarcza żabie za chloroform (autentyczne!). A oprawia się na uniwersytecie żaby, nietylko dla celów farmakologicznych lub fizjologicznych, lecz wprost na egzaminie studenckim! Każdy student obowiązany jest, momentalnie, na żywej, nieuśpionej żabie pokazać, rozpłatawszy ją, gdzie ona posiada wewnątrz ośrodek, o który profesor zapytuje.

Powtarzam raz jeszcze, że większość studentów demonstracjami się nie interesuje, lub patrzeć na nie nie chce. Profesorowie natomiast, z gorliwością godną lepszej sprawy, zmuszają studentów do asystowania przy tem, a nawet notują sobie nieobecnych. Audytorjum całe i tak mało co z tego widzi, a jeszcze mniej rozumie, jedynym niezaprzeczalnym wynikiem tego jest przytępienie wrażliwości młodzieży na ból, zadawany innej istocie.

Młody studencik, który pracował w laboratorjum profesora Dastra, opowiadał z rozkosznym uśmiechem:

— Co mnie najwięcej bawi, to to, że królik przy drażnieniu nerwu pneumogastrycznego (w mózgu), krzyczy, jak małe dziecko... I obiecujący młodzieniec, naśladując krzyk torturowanego królika, dodawał: chciałbym wiedzieć, jakby znowu krzyczały w takim wypadku dzieci...

Zapewne jak króliki...

Gdyby nie było ustawy przeciw eksperymentowaniu na ludziach, napewno „uczeni" tego typu, co ów rozkoszny młodzieniec, zabijaliby i zamęczali z pasją ludzi. Zresztą pokazało się już nieraz, do czego demencja „szczepionkowa" naprzykład prowadzi. Taki coraz głośniejszy skandal z instytutem Rockefellera w New Yorku! — „New York" amerykański, wymieniał nazwiska 15 lekarzy, którzy dostarczali tamże do doświadczeń niemowlęta, sieroty i podrzutki. Taki skandal prof. Niessera we Wrocławiu! który zdrowym, młodym dziewczętom zaszczepiał — dla eksperymentu — syfilis! Co się działo w szpitalu publicznym dla dzieci w Sztokholmie! To też wczoraj jeszcze dostali tacy wiwisektorzy, jak Carrel i Richet, nagrody Nobla, zamiast wielkiego uczonego Fabre'a, którego entomologiczne dzieła chyba znacznie większe skarby wiedzy ludzkości przyniosły! — jeszcze wczoraj dostawali nagrody i odznaczenia tamci, ale czas biegnie piorunem i zmiata ohydę ludzkich zboczeń, zabobonów, przywidzeń i tradycji. Patologja ludzka nie może się opierać na patologji zwierzęcej — od fizjologji coraz mniej możemy się spodziewać, to też tacy, jak Tiedman, czy słynny wiedeński profesor Rokitański odrzekli się fizjologji, zniechęceni problematycznością jej zdobyczy.

Rzekła jakaś święta dusza:

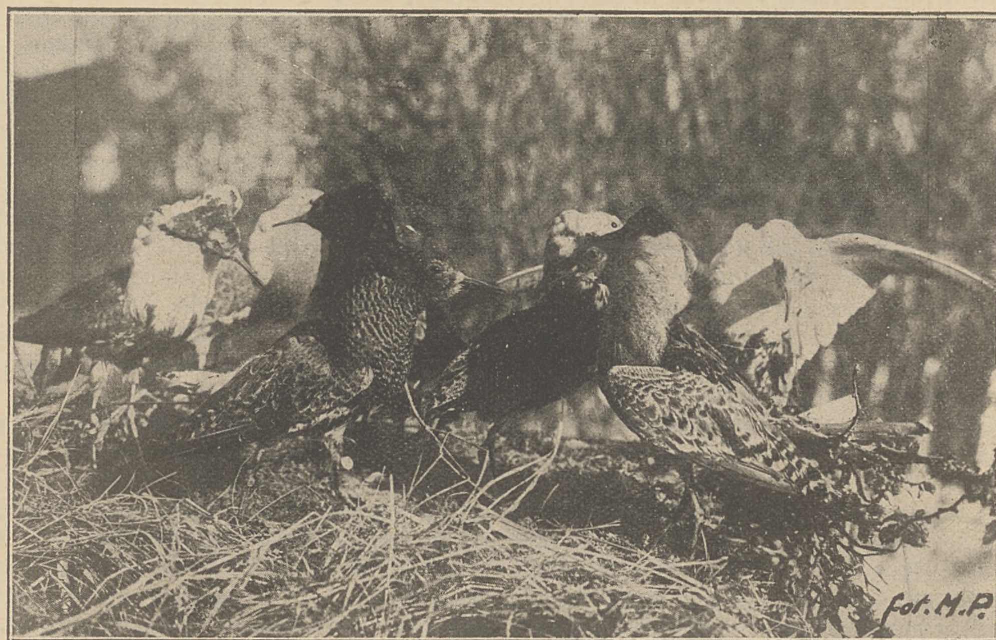
— *Jeśli jest Bóg Miłości, który rządzi światem, to nigdy wiedza, oparta na okrucieństwie, nie przyniesie zdrowia człowiekowi.*

Janina Maszewska-Knappe.

ŻYCIE RODZINNE PTAKÓW

Wśród mnóstwa różnych. bardzo fałszywie ugruntowanych poglądów ogółu ludzi co do świata zwierzęcego, w sensie duchowym i społecznym, góruje jeden — o małej inteligencji ptasiej, o t. zw. pogardliwie „ptasim mózgu". Tymczasem obserwacje naukowe życia ptaków wykazują naogół wręcz przeciwne objawy. Miłość i wierność par małżeńskich ptasich wykazuje tam taki poziom uczuć, na jaki, niestety, rzadko stać jest człowieka. U ptaków tylko te samce porzucają swe samice po złączeniu się, które należą do gatunków zdecydowanie mniej inteligentnych. Pozatem i cała budowa rodziny i społeczeństw, życie towarzyskie, zwłaszcza systemy wychowania młodych, dowodzą wysokiego poziomu umysłowego, młodych. Ale naogół trwałe przywiązanie do samicy po jej zapłodnieniu jest niesłychanie rzadkie. Ssące, po zdobyciu samicy, jeżeli nie zaraz, to po pewnym okresie, rzucają ją — tymczasem ptaki trwają w przywiązaniu, które z biegiem czasu tak się potęguje, że częstokroć jedno z małżonków nie może przeżyć zgonu, a zatem rozłąki z drugiem.

Charakter uczuć u większości gatunków ptasich jest głęboki, trwały i niesłychanie delikatny. Stosunek samca do samicy jest tam wprost przemiły. W okresie starania się o nią, dla pozyskania jej sobie, uczucia swoje wyrażają samcy śpiewem, pieszczotami, postawą błagalną, ruchami rytmicznemi. W ciągu tego to okresu „zalotów" obie płcie, samiec



Rodzina Bataljonów.

co więcej, wykazują nawet ciągłość myślową z pokolenia w pokolenie — poprostu tradycję.

Życie rodzine jest tam zarysowane bardzo wyraźnie i gra dużą rolę. Te gatunki ptaków, które żyją parami, łączą się w nie na zasadzie wyraźnego doboru i sympatji. Niektóre z tych gatunków pod względem wzajemnego przywiązania do siebie małżonków, górują nad wszystkiemi innemi istotami żyjącemi. Wiemy bowiem dobrze, że tak u małp, jak workowatych, okazy jednożenne są bardzo rzadkie, podczas kiedy u niektórych ptaków kojarzy się wielka liczba par na całe życie, wydając z roku na rok pokolenia i nie rozłączając się nigdy. U ssących wyłączne przywiązanie wzajemne jest wyjątkowe, bardzo rzadkie i zwykle nie trwa dłużej, niż rok. Przykłady jednożeństwa najliczniejsze są może u drapieżców. Wilki, lisy — a nadewszystko lew pozostaje całe swe życie z jedną samicą i bierze czynny udział w wychowaniu i samiczka wzajemnie uczą się poznawać, przyzwyczajają się do siebie, łączą w swej myśli i dochodzą do tego, że, złączone już w parę, nie są potem w stanie się rozstać. Znane nam są wprost przysłowiowe papużki, zwane „nierozłącznemi". O sikorkach opowiada Brehm, że okazują sobie niesłychaną czułość. Samiec z samicą siedzą w nocy jedno obok drugiego, przytem samiec zwykle okrywa samiczkę swojem skrzydełkiem. Śmierć jednego — zabija niechybnie drugie. Dzięcioły należą do ptaków łażących, które, jak wiemy, zwołują się za pomocą stukania w gałęzie. „Samica", opowiada Brehm o jednej parze, którą miał w klatce, „zachowała i umarła. Trudno opisać boleść samca. Przez cały czas nie przestawał wołać swej żony, bębniąc dziobem bez przerwy. Noc nie przyniosła mu ulgi, nie spał, stukał, w końcu ucichł i został już apatyczny i osowiały. Żył potem bardzo krótko", — Niezwykła wierność daje się zaobserwo-

wać u ptaków brodzących — Jabiru. Tam pary nie rozłączają się nigdy. Zabawiają się wzajemnie czemś w rodzaju tańca; gdy jedno jest zabite, drugie nie łączy się już nigdy w parę. To samo zresztą możemy obserwować i u hodowanych u nas po wsiach — perliczek. Gdy jakaś para zostanie rozbita, pozostała sztuka błąka się długo samotnie, w końcu przyłącza się do którejś z par sympatyczniejszej dla siebie, ale tylko w roli towarzysza lub towarzyszki idealnej. Jajka samicy-wdowy są zawsze niezapłodnione i bywają używane w gospodarstwie tylko do gotowania, nigdy do wylęgu.

Gdy ptaki, złączone już w pary, ścielą sobie gniazda, samiec znosi budulec cięższy i trudniejszy do zdobycia, samiczka zaś buduje najdelikatniejsze tylko części gniazdka i urządza miękkie posłanie dla jajek i przyszłych piskląt. Samiec otacza samicę przez cały okres wysiadywania jajek ogromną troskliwością. Znosi jej pożywienie, wykonywa moc piruetów w powietrzu, aby ją zabawić, oraz śpiewa jej godzinami, jak to znane jest ogólnie np. u słowików. Kilka razy dziennie samiec zastępuje samiczkę w ogrzewaniu jajek, aby sobie trochę pofruwała: takie jednak loty samiczek służą tylko dla wyprostowania skurczonych dniami całemi skrzydełek i trwają krótko, samiczka bowiem wyraźnie niepokoi się o swoje jajka i niedowierza umiejętności ogrzewania ich — swego skrzydlatego męża.

Wszędzie, tak u ssących, jak też i ptaków, kamieniem węgielnym rodziny jest miłość macierzyńska. W chwili, gdy pisklęta się wykłuły, samica czuje i rozumie do pewnego stopnia, że te pisklęta są cząścią niej samej, że należą do niej. Są one z niej, a zatem miłość „samej siebie" rozciąga się i na tych, co powstali z owego „siebie", zamienia egoizm na sympatję i miłość, instykt zaś własności — na popęd troskliwości. Samiec odczuwa coś w tymże rodzaju, wyraźnie jednak, jak to podkreśla Brehm, narodziny piskląt u ptaków wzmacniają przywiązanie ojca do matki. Odczuwanie przez dłuższy czas wspólnie trosk i radości, ów wspólny, żywy przedmiot czułości rodzicielskiej, przykuwa serce ptasiego męża przedewszystkiem i nadewszystko do jego żony.

Węzły, łączące w rodzinie ptasiej rodziców z dziećmi i naodwrót są również niesłychanie mocne. Życie bowiem potomstwa zależy od nich, z ich zerwaniem — gaśnie. To też pisklęta w miarę wzrostu i poczucia własnej słabości uświadamiają sobie zależność od rodziców — są im podległe i stosują się z całych sił do ich żądań. W rodzinie ptasiej rozwinięte jest systematyczne wychowanie i kształcenie dzieci. Wymiana nieprzerwana znaków, ostrzeżeń, zachęty, nieraz wyrzutów, na które małe żywo reagują. Rodzice mają w stosunku do swych piskląt niesłychaną wprost cierpliwość, a niektóre metody ich nauczania są ogromnie ciekawe. Np. drapieżny ptak Argos, wynosi swoje małe na grzbiecie wysoko w powietrze, aby je zmusić do lotu. Wiele ptaków czyni to samo, pływając, np. nury i łabędzie surynamskie. Mewy, gdy niebezpieczeństwo grozi ich małym, biorą je pod skrzydła i znikają z niemi pod wodą. Zdarza się czasem, że chowają je w piórach na piersiach i unoszą je w powietrze. Bekas postępuje niekiedy tak samo.

Jaeckel opowiada ciekawy system kształcenia młodych u tychże „nurów". Początkowo rodzice karmią pisklęta do ósmego dnia ich życia. Od tego dnia zaczyna się kształcenie. Samiec, trzymając rybę, przepływa kilka razy przed malcami, którzy chcieliby odrazu chwycić żywność — nie daje im jej jednak i zanurza się z rybą do wody, aby je zmusić do pływania za nim. Ponieważ są jeszcze lękliwi i niezręczni, pokazuje im co chwila zdobycz zdaleka i woła głośnem: „kuni, kuni". Malcy rzucają się wtedy ku niemu i przepływają znaczną przestrzeń, a najlepszy pływak otrzymuje rybę w nagrodę.

Trudno przytaczać wszystkie przykłady, obserwacje jednak przyrodnicze dawno stwierdziły, że silny łańcuch wiąże w rodzinach ptasich rodziców z dziećmi, a systemy wychowania młodych dowodzą wysokiego poziomu umysłowego, wykazując ciągłość myślową z pokolenia w pokolenie — poprostu tradycję. Gdyż świadomość zbiorowa nie może odznaczać się jednością, tak daleko posuniętą, bez pewnej ciągłości wspomnień. Nauki, dawane dzieciom, udzielają tymże dzieciom doświadczenia, nabytego przez rodziców, t. j. bezpośrednich ich poprzedników. Widzimy często, że zmiany w budowie gniazd lub taktyce wojennej, wprowadzone przez jedno pokolenie, utrwalają się w następnem. Kuropatwy mają zwyczaj ubezpieczania się zapomocą rozstawionej warty. Otóż ich młode już w pierwszym roku życia oddają się tej czynności pod kierunkiem rodziców. W ten sposób przestroga o niebezpieczeństwie przechodzi od starych na młodych. Dzieła ornitologów obfitują w opisy taktyki ptaków wobec niebezpieczeństwa i przekazywania nabytych doświadczeń młodym pokoleniom. Stwierdzają oni, że moc faktów z życia ptaków dowodzi, iż wiele ich czynności, tak dokładnie odpowiadających potrzebom, płynie z osobistej, ptasiej wynalazczości, przechodzącej potem z pokolenia na pokolenie zapomocą bezpośredniego nauczania. Np. kruk dla rozbicia twardej skorupy mięczaka, wznosi się z nim wysoko, i ciska go zgóry na kamienie — tego sposobu uczy swe dzieci, gdy zaczynają już fruwać. W taki sam sposób stopniowo udoskonala się i budowla gniazd.

Wiadomo, że doskonałość gniazd odpowiada wiekowi osobników, które je budują. „Obserwując uważnie" mówi Leroy, „widzimy, że gniazda ptaków młodych są niezgrabnie, niedokładnie budowane i źle umieszczane. Często nawet młode, niedoświadczone samiczki znoszą jajka gdziekolwiekbądź, bez żadnej przezorności". Nietylko jednak wiek budowniczych stanowi o różnicy między gniazdami. Różne osobniki tegoż samego gatunku budują je rozmaicie, odpowiednio do zdolności wynalazczych i zręczności wykonania, oraz okoliczności zewnętrznych i tradycji, panującej w danej miejscowości. Pouchet zauważył między licznemi gniazdami jaskółek, pokrywającemi gmachy w Rouan, świeże ulepszenia, właściwe tylko gniazdom tego kraju. Brehm wykazuje wielką ilość zmian tego rodzaju, które są zwykle spowodowane specjalnemi, lokalnemi warunkami i z powodu swej praktyczności zaprowadzone na mniejszej, lub większej przestrzeni. Hypotezę nauczania poglądowego, przechodzącego z pokolenia w pokolenie, popierają ogromnie owe różnice w budowie gniazd u tych sa-

mych gatunków i przystosowywanie tych budowli np. do warunków klimatycznych.

Pewien gatunek wilgi, zwany Baltimora, żyjący w Ameryce, buduje gniazda rozmaicie i stosownie do miejscowości, więcej lub mniej ciepło.

W południowych stanach Ameryki Północnej gniazda owe zrobione są wyłącznie z mchu, ścianki są bardzo przewiewne dla łatwego dostępu powietrza. Wewnątrz niema ciepłego wysłania i gniazda obrócone są na zachód. W stanach północnych zaś przeciwnie. Wystawione są na działanie promieni słonecznych i wysłane materjałami najcieńszemi i najcieplejszemi.

Gdy się zastanowimy głębiej nad powstaniem podwójnych gniazd Tkaczów, gdzie samiec buduje sobie obok samiczki „przybytek rozkoszy", w którym śpiewa, aby ją bawić — mimowoli nasuwa się pytanie, czy te dwa gniazda, budowane może ongi na jednej gałęzi, powoli, zbliżając się do siebie z pokolenia w pokolenie, nie utworzyły takiego typu, jakiego jest obecne gniazdo o dwóch komorach? A patrząc na gniazdo czapli afrykańskiej, które złożone jest aż z trzech komór oddzielnych i tak trwałych, że mogą wytrzymać ciężar człowieka, nie można wierzyć nawet, aby ta przemądra budowla wyłoniła się z głowy jednego ptaka. Musiała się udoskonalać stopniowo przez długie pokolenia.

Im częściej znoszone są jaja, to jest, w im szybszem tempie przybywają nowe pisklęta — tem prędzej przechodzą z jednego pokolenia na drugie wskazówki, rezultat nabytego doświadczenia, a tem mocniej się one utrwalają, im dłużej malcy zostają w towarzystwie rodziców i dorosłych. Gdy jednak młode stają się na tyle silne, że mogą sobie same szukać pożywienia, oraz tak już roztropne, że przyswoiły sobie i praktycznie zastosowują wskazówki, otrzymane od rodziców — rodzice odsuwają się od nich stopniowo. Gdyż, o ile pożycie małżeńskie danych osobników trwa przez całe życie jego członków, to życie rodzinne ptaków ogranicza się wykle do jednego roku. Tylko u kurek wodnych grupa rodzinna obejmuje dwa pokolenia piskląt. Po okresie dzieciństwa i życia rodzinnego — nowe pokolenie pochłania społeczeństwo wyższego rzędu — utworzone przez wiele grup połączonych i trwać w niem one będą aż do okresu miłosnego, kiedy zaczną się dobierać w nowe pary małżeńskie.

Jak widzimy z powyższego, przykłady, zaczerpnięte z życia ptaków, wykazują takie już wyżyny ich rozwoju psychicznego, a rodziny ptasie tworzą taki zdecydowany organizm duchowy, indywidualny i górujący sentymentem swym i stopniem roźwoju nad innemi istotami zwierzęcemi, że mimowoli przykuwa do siebie myśl, nasuwając różne porównania i refleksje, nie zawsze pochlebne dla „króla stworzenia".

Prof. Konrad Chmielewski.

GŁUSZEC

W starym, zielonym mchem pokrytym dworze moich dziadów na dalekich kresach, od wczesnej młodości zaprawiano mię do różnych kunsztów rycerskich. Z konną jazdą i fechtunkiem szło jako tako, ze strzelaniem i polowaniem słabiej. Co prawda — jako 12-letni, trochę malaryczny romantyk kochałem się już w cudach głębin boru i jaśniach pól ojczystych, ale, gdy trzeba było wygarniać ze starej dziadowej dwururki, dziwnie drżała mi ręka i jeszcze dziwniej młode, „głupie" serce! To też pudło szło za pudłem, opłakałem łzami „babskiemi" pierwszą zabitą przypadkiem pardwę i zyskałem miano niewieściucha. Tchórzem mnie nie nazywano, gdyż miałem dziwne również męstwo do tak zw. dzikich zwierząt. Wszystkie psy łańcuchowe łasiły się do mnie, buhaje w oborze odwracały do mnie poważnie swoje łby turze, a oswojony wilk wył do mnie serenadę. — „Będzie z niego naturalista"... zawyrokował stary, wiecznie zatabaczony ubogi krewny, który gdzieś tam kiedyś coś — „panie dziejski" — studjował.

Raz kiedyś — kiedy byłem już w klasie 6-ej — wziął mnie starszy brat — tęgi myśliwy, na głuchanie. Do północy spaliśmy smacznie w zapadłej leśniczance w głębi starej Fiedosowskiej puszczy nad Świtezią, zwaną Jelno; — gdy gwiazdy zaczynały blaknąć, zbudził nas stary leśny Dubowski i ruszyliśmy w las po małym posiłku. Jakiś czas brnęliśmy nawet z latarnią po ścieżkach wśród przepastnych bajorów i zmurszałych mokradeł, wreszcie wleźliśmy w las taki, jaki to namalował dla głuszca Chełmoński. Gdzieś z boku zaśmierdział nagle ruszony barłóg niedźwiedzi, — pół wiorsty dalej zawarczał i z tupotem bosych nóg uciekał w ciemnię borsuk. Trzeba było iść coraz ciszej, coraz ostrożniej, bo już zbliżaliśmy się do czat głuszcowych... Nie jestem w stanie opisać piękności takiego przedświtu i przedwiośnia wśród zórz liljowych i srebrnej mgły, wzdychającej po przebudzeniu ziemi. W tej seledynowej, kościelnej ciszy najgłośniej zachowywało się moje serce. Naraz usłyszałem i zobaczyłem tego pierwszego tenora wiosny. Nisko, na gałęzi rosochatej, krzywej sosny, wygięty całą postacią w łuk księżycowy zwrócony purpurą głowy w blade światło zarania nad lasem — łkał. wołał, gędził jakieś pogańskie sagi miłości, pieścił się głosem metalu, to szeptem stłumionej żądzy serca — wielki, czarny, wspaniały w swym rysunku — ptak... Było w nim coś rycerskiego, coś czy z pierścienia Nibelungów, czy też z północnych wikingowych klechd o mocy miłości, a może z tej przedwiecznej ballady, którą las — jako ostoja pierwobytu i prawzoru — szepce czasem wybranym. Chylił się, słaniał w pokłonach wschodzącej zorzy złotej, dzwonił cichutko jakieś metaliczne ritournele sonetu, nie widział, nie słyszał nic — jeno

pieśń swoją. Słuchałem cicho, rozmodlony podziwem dziecka, czy młodzieńca..., grało mi w duszy jakieś echo. Nagle w pewnej chwili zaczęła się chylić w stronę tenora do strzału dubeltówka mego brata. Z rozpaczą, oburzony do żywego, złapałem za nią ręką. Strzał gruchnął, ale nieszkodliwie dla głuszca, który porwał się i uciekł za wiszary gałęzi — a ja za to ległem jak długi w błoto, odtrącony gwałtownie przez zirytowanego brata.

czterech kantonów. Gdym pierwszy raz w marcu otworzył okno mego pokoiku, o kilkadziesiąt metrów od osiedla ludzkiego szeptał o świcie nikomu nieznany tu dotychczas ptak, który rozciekawił swoim głosem wszystkich mężczyzn w sanatorjum. Gdym w roku 1921 jechał nad Dźwinę obejmować swoje dziedzictwo i puściznę, całą romantyczność kilkuwiekowej czatowni polskiej na Rusi Białej, na piasczystej drodze leśnej w noc kwietniową załkał mi znowu



Głuszcowa ostoja poleska.

Żwawa wymiana myśli dowiodła potem, iż ja jestem idjotą, a mój braciszek — krwawym drabem.

A co najciekawsze, iż Dubowski wziął moją stronę —,, — ja — panoczek — tož nie strelauby..."

Ten uratowany od śmierci głuszec (brat strzelał świetnie!) dziwnie goni za mną przez życie i słyszę go tak często... Kiedyś ciężko chory trafiłem w Szwajcarji do sanatorjum na Rigi-Klösterli, pod szczytem prawie tej góry, nad fjordowem jeziorem

może powitaniem gdzieś zdaleka, zdaleka, gdy stanęły konie, nieutulony romantyk i bard uniesienia miłosnego — ciemny rycerz, głuszec.

Odpowiedziało mu moje serce, tak samo naiwne i szczere, jak przed czterdziestu laty, tak samo tęskniące, romantycznie może, do tej pogody w przyrodzie i życiu, o której tak cudownie mówi wielki Saykamuni: „Wszystko żywe i czujące jest mi bratem i swatem moich myśli o potędze przedwieczności"...

K. Zimmermann.

ROK ŻYCIA Z MOJĄ OBILOT

(Historja małego gronostaja).

— To jedno zyskałem, że mam znów kwiaty w pokoju. Obilot właściwie kwiaty lubiła, ale objawiała to w sposób tak gwałtowny i dziki, jak nieokiełznaną była cała jej natura. Rzucała się na każdy krzaczek radośnie, lecz po chwili rozszarpywała go na strzępy, wyrzucała w powietrze i roznosiła po całym pokoju.

Jaka pustka teraz bez niej szalona... jak ponuro... nikt się do mnie nie cieszy, gdy wracam do domu, nie przerywa mi pracy, nie każe ze sobą się bawić... Taka była maleńka, taka drobna, a cały pokój wypełniała swym niepokojem i beztroską, gwałtowną radością.

Cały rok przeżyła ze mną Obilot, rok cały szczęścia bez chmury, aż gospodyni moja orzekła, że nie pozwoli jej dłużej u mnie przebywać. Nie pomogły moje perswazje, ani prośby; logika gospodyń jest specjalnego gatunku. Dozwalają swoim lokatorom na zapychanie pokoi kolekcjami gratów lub fotografji z wycieczek; na ustawianie gipsowych figurek pół-nagich tancerek, na zawieszanie dwuznacznych obrazów — ale nigdy na przebywanie żywego, maleńkiego gronostaja!

* * *

Poszedłem do Obilot, aby się z nią naradzić nad jej przyszłym losem. Siedziała właśnie na brzegu doniczki z kwiatami i na mój widok zaczęła się wspinać i wyciągać ku mnie swe drobniutkie, białe ramionka. W pierwszej chwili myśl moja zahaczyła się o ogród zoologiczny. Wprawdzie tam przestałaby być — „Obilot"... tamby się nazywała „Mustela erminea" albo „gronostaj"... Toby było zresztą jeszcze do zniesienia, tylko, że poza snem i zjedzeniem kawałka rzuconej koniny, życie jej byłoby tam odarte z wszelkich wrażeń, których jej żywa, nerwowa natura tak potrzebowała!

Zaczęła się bawić moją ręką, lecz byłem tak przygnębiony i pochłonięty troską o jej przyszłość, że się mną prędko znudziła. Koszyk z papierami był o wiele ciekawszy. Dłuższą chwilę szeleściła w jego wnętrzu, aż w końcu wyskoczyła, triumfująco ciągnąc za sobą dużą kulę z papieru. Wywlokła ją na środek pokoju i cichutko zniknęła. Bo kula z papieru czarodziejsko zamieniła się w jej wyobraźni na królika, a pokój na łąkę... Więc trzeba rozpocząć działania wojenne, ostrożnie... Bezszelestnie podkrada się Obilot do kuli — ale królik—kula nic nie widzi i nie reaguje... Więc Obilot się cofa do swojej fortecy pod szafę, przyczaja się chwilę i nagle... w szalonym galopie wypada ze swojej kryjówki i spada na kark swej ofierze! Kula się toczy, jakgdyby chciała z siebie strząsnąć małego napastnika, lub przydusić go sobą, lecz maleńka Obilot jest zręczna i nie da się łatwo pokonać; co się kula przechyli, ona szybko odzyskuje równowagę i jest stale na górze! Zwyciężyła królika! Królik — kula leży poszarpany a Obilot ogarnia upojenie zwycięstwem. Wpada w dziką ekstazę, porywa się cała w wir tańca, szalonego, dzikiego jakiegoś tańca, do którego codziennie, jak zauważyłem, zaprawiają się jej z dziecięctwa wyrastające muskuły. Stanowczo to zauważyłem, że odkąd zaczęła z dzieciństwa wyrastać, wprawiać się zaczęła w jakieś skoki, galopady, wypady z kryjówek, które sama ze sobą udoskonalała. W danej chwili ten jej taniec triumfalny nabrał olbrzymiego rozpędu. Przez szerokość całego pokoju, poprzez łóżko, kanapę, parapety okienne, moje biurko, komodę na martwą ofiarę z powrotem... aż zmęczona, zziajana, bez tchu prawie, przypadła w końcu do mnie i wślizgnęła cichutko w ulubioną kieszeń mojej marynarki, by w niej zasnąć bezpiecznie.

Tkliwie, leciutko głaskałem jej miękkie, jedwabne futerko i przysiągłem sobie, że w więziennej celi ogrodu zoologicznego, promiennej, bujnej radości jej życia — nie zamknę!

* * *

Może w tem się czaiła doza pewnej zazdrości? Jeżeli niewolno jej ze mną przebywać — niechaj nikt jej nie posiada przy sobie! Zresztą Obilot nie znosiła zbliżenia żadnego człowieka; mnie jednego tylko kochała i ze mną tylko była zupełnie swobodna Właściwie, ludzi się nie bała. Przybiegała na każde zawołanie, zwłaszcza, gdy ją przyciągała ciekawość poznać nowe przedmioty. Musiała doskonale obejrzeć każde palto, każdy żakiet futrzany, kapelusz lub torebkę — lecz gdy ją obca ręka chciała objąć — gryzła. Mnie również, czasem, w zabawie ugryzła w palec lub ucho, lecz jakże inaczej, jakże pieszczotliwie!

Kiedy ją dostałem, była bezbronnem maleństwem, która zabita na polowaniu jej matka niosła, uciekając, w pyszczku. Dużo trudu, pieczołowitości i zabiegów musiałem poświęcić, aby tę kruszynkę przy życiu zachować i odchować. Za to ona przywiązała się do mnie całem swem dziecięcem, sierocem serduszkiem. Póki była maleńka, potrzebowała stale mej obecności. Tylko przy mnie czuła się spokojna i bezpieczna, a gdy od niej odchodziłem, wołała za mną trwożnym, żałosnym głosikiem. Sypiać nigdzie nie chciała, tylko w mojej kieszeni, lub wciśnięta pod kołnierzem, na ramieniu. Dopiero, gdy się wzmocniła i trochę podrosła, zaczęła sobie sama inne jeszcze miejsca wyszukiwać do spania. To w szufladzie mego biurka, to w szafie, w bieliźniarce, aż w końcu cały pokój w posiadanie objęła.

Miała swoje schowanko na zabawki. Pod pokrowcem, na starej kanapie, chowała swoje skarby; jakieś strzępki materji, skorupki od jajek no i stare, skórzane rękawiczki. Z dużym kawałkiem papieru

żeglowała czasem przez pokój, do swego składziku na kanapie, lub do gniazdka, które sobie pracowicie usłała z mchu, którego jej raz całą skrzynkę przywiozłem. Musiałem jej dostarczyć tego mchu, bo chciała koniecznie mieszkanko sobie zbudować, z tajemniczemi przejściami i ciemnemi norkami.

Śniadanie jadała stale razem ze mną. Jak tylko usiadłem przy stole, zaraz na stół wbiegała, wszędzie nosek swój wścibiała i strasznie lubiła cukier rozsypywać. Kiedy raz naumyślnie przykryłem cukierniczkę przykrywką, to się na mnie rozgniewała, przykrywkę zerwała i na ziemię zrzuciła! Maleńka moja, miła, dałbym ci dziś cukru bez miary, byś go mogła dowoli rozsypywać, byleś znów była ze mną, byleś mnie się znów bawić ze sobą kazała, byle twoją przekornę, śliczną minkę znów widzieć! Bo ja byłem jedynym towarzyszem twoich zabaw. Bessie, suczka gospodyni — to ciebie nie lubiła. Dokuczałaś jej jednak. Pomyśl sama, ona i tak cierpliwie znosiła twoje dzikie fantazje. To był pomysł szatański, ty mała przekoro, wskakiwać na jej kark foksterjerki i nie dawać się jej zrzucić i jeździć na niej konno, gdy z gniewem, chcąc się pozbyć ciebie ze swego grzbietu, jak szalona, po pokoju, biegała! Albo, gdyś się wślizgiwała pod posłanie, na którem ona spała i póty się pod nią kręciłaś, póki się biedna ze snu nie zerwała i z głośnem warczeniem nie uciekła! Musisz przyznać, Obilot, że dobra była jednak dla ciebie, przebaczała ci te figle dziecięce i nigdy ci krzywdy nie zrobiła!

Pracowitą była mała Obilot szalenie, czynną miała naturę; stale czemś była zajęta i zawsze przytem wesoła. Myślicie może, że to tak łatwo, będąc taką maleńką z natury, ściągnąć sobie duży ręcznik z wieszaka i wlec go przez cały pokój i wskoczyć z nim razem na łóżko?!

Był jednak okres w jej życiu, kiedy jej żywość gwałtowna ucichła i promienna wesołość przygasła. W miesiącu lutym to było, kiedy gronostaje na swobodzie w pary sie zaczynają dobierać i gniazda rodzinne zakładają. Obilot okryła się wtedy śnieżysto - białem futerkiem oblubienicy i była wprost czarująca. Ale oblubieniec nieznany nie nadchodził, więc ona zapragnęła biec na jego spotkanie. Godzinami siadywała wtedy pod progiem drzwi, które ją od świata jej pragnień dzieliły i drapała w twarde drzewo pazurkami, aż smutna, zmęczona, przybiegała w końcu do mnie, łagodniejsza, przytulniejsza i tkliwsza, niż zwykle. Chciała być pieszczona, głaskana, więc wciskała się mocno w moje ręce a ja tuliłem ją do siebie i głaskałem jej bujne futerko.

Obilot, moja mała, w następnym roku, w lutym, spełni się twoje przeznaczenie!... Puszczę cię na swobodę i porwą cię tam mocne objęcia twego gronostajowego męża. Tak, jak dzisiaj moją rękę, będziesz wtedy lizać, swoim ślicznym, różowym języczkiem, jego białe futerko i zostaniesz matką jego dzieci i w troskach macierzyństwa zatrze się w twojem małem serduszku pamięć dni twoich dziecięcych, pod moją opieką przeżytych... Najwyżej może, gdy dzieci twoje, one znów z kolei, rozpoczną już swoje zabawy, przez pamięć twoją może się przemknie mgliste wspomnienie królika z papieru i twego nad nim zwycięstwa i starej kanapy, twojej „twierdzy" dziecięcej, tak bezpiecznej!

* * *

I nadszedł w końcu ten dzień wiosenny, dzień mego, z Obilot, rozstania! Przewalczyłem to ze sobą, przetrawiłem i miejsce dla niej dobre wyszukałem. Zdala od gościńca, od zamiejskich wycieczek i od wsi zdala, w głębokim, krzewami bujnie zarośniętym rowie. Zbiły się nad nim gęsto jerzyny i mchem był zarośnięty, mchem pysznym do torowania w nim sobie korytarzy i norek. Były tam ślady gniazd mysich i żaby na łąkach już się odzywały.

Obilot, gdy ci moja ręka już więcej nie poda przysmaków, gdy głód prawdziwy poczujesz — to się niemi będziesz musiała nakarmić. Maleńka, biała księżniczko, ta żaba, którą ci kiedyś przyniosłem, wydała ci się wtedy taka wstrętna! Dziwiłaś się jej radośnie, że skakała, bo to cię bawiło, ale gdy ją noskiem trąciłaś — obrzydzenie cię porwało i do mnie przybiegłaś i tak ślicznie, kapryśnie obcierałaś go sobie w mój rękaw.

Ale wtedy, Obilot, był przy tobie blizko ktoś taki, co ci każdego poranka mleko gorące studził i kożuszek z niego zdejmował i masło ci podsuwał, boś je lizać lubiła... Może jednak, gdy już sama zostaniesz, zastanowisz się jakoś nad żabami. One łatwo się łapią.

Pod grudką ziemi było wejście do jamy mysiej i Obilot, zaciekawiona, wpadła do niej zaraz. Dłuższą chwilę trwała głucha cisza, aż lekko zaszeleściało i główka Obilot radośnie wychyliła się z niej ku mnie. Siłą przyzwyczajenia przypadła do moich kolan. Serce mi się tłukło szalonem, nierównem tętnem, krew zalewała mi głowę. Maleńka... ukochana... Dojrzała drugą norkę — skoczyła ją zbadać. Obejrzała się za mną, zanim rów przeskoczyła. Mignęło mi jak obłok jej białe futerko... Zerwałem się wtedy do ucieczki... Raz jeden jeszcze ja sie za nią obejrzałem ale kwitło w tym rowie tyle białych anemonów, że mi ją zasłoniły...

Nie zobaczyłem jej już nigdy; tylko pozdrowienie od niej jeszcze ostatnie otrzymałem następnego poranka. Znalazłem w kieszeni mojej marynarki kamyczek i skorupkę od jajka... to Obilot mi je tam wrzuciła...

Niepotrzebnie, Obilot, niepotrzebnie! Ty małe moje, niemądre, nie zapomnę Ciebie nigdy!

Z niemieckiego przełożyła *J. M. K.*

Ks. Jerzy Kahané
Pastor. Prefekt Sem. Naucz. w Działdowie.

BURMISTRZOWA, KOT I GAPY

— Mąż jej był burmistrzem w miasteczku przez lat dwadzieścia pięć. Mówiono, że dobrze gospodarował. Upiększył miasteczko, zakładając parki, sadząc kwiaty; powszechnie lubiany, cieszył się poważaniem. Człowiek dobry, łagodnego charakteru, z jednem nie mógł się pogodzić — żona jego wydawała za dużo pieniędzy. Pomyślicie może, że wydawała ta pieniądze dla siebie? Gdzież tam! Tak jak mąż, kochała kwiaty a w dodatku, zwierzęta. Współczuła bezdomnym psom i ptakom, które codziennie karmiła, okazując litość i niosąc pomoc „mniejszym braciom" ludzkości.

Po śmierci męża, burmistrzowa została w życiu sama. Jednego syna straciła na wojnie światowej, drugi mieszkał zagranicą. Sprzedała wszystkie nieruchomości, zostawiając sobie jedynie jednopiętrowy dom w rynku i ogród opodal i żyła samotnie. Nieodstępnym jej towarzyszem był kot ułomny, mający przetrącony kręgosłup, którego nazywała Mruczkiem. Mruczek razem ze swoją panią odbywał drzemkę poobiednią i razem wyglądali oknem na świat boży.

Codziennie w południe burmistrzowa karmiła gapy. „Patrzajta ludzie, gapy się zlatują, burmajsterka je futeruje" — mawiali mazurzy. I rzeczywiście — „futerowała". Rzucała im posiłek na dach parterowej przybudówki, a one jadły śmiało, jak wróble. I ptaki te okazywały wdzięczność swej żywicielce. Skoro tylko ujrzały burmistrzową, idącą przez rynek, zlatywały się do niej, krążyły nisko i kracząc, siadały na plecach dobrej pani. Pies Filon, biały szpic, „sąsiad z przeciwka" też kochał burmistrzową. I jego dokarmiała, gładziła szerść puszystą i chodziła z nim na spacer. Filon składał od czasu do czasu wizyty burmistrzowej, dreptał po dywanach jadalnego pokoju, lub siedział w bujającym fotelu.

* * *

— Gapy osowiałe siedzą na dachu i czekają na zwykły, południowy posiłek. Mruczek w oknie mruczy, Filon jest smutny... Burmistrzowa wyjechała na kilka dni. Posiłku nie będzie, ani pieszczot, ani głaskania Filona!...

* * *

Filon wył całą noc. Mruczek, przewracając się na grzbiecie, szukał burmistrzowej po całem mieszkaniu. Gapy chmarą obsiadły gałęzie drzew cmentarnych i żałośnie krakały. Burmistrzowej — żywicielce gap, Mruczka i Filona kopano łoże na wieczny spoczynek...

Jadwiga Czarnowska - Kurnatowska.

CHINOOK

(Psom, współpracownikom ludzi na szlakach północy).

Bezkresna, nieobjęta, groźna w swej śmiertelnej ciszy, pustynia lodowa.

To Arktantyda, straszliwa, niezbadana, czyhająca na swe ofiary, Arktantyda... Zazdrośnie strzeże biegun swej tajemnicy i biada temu, który śmiałą stopą chce kraj jego przemierzyć. A jednak i tu, pod 80 st. szerokości geograficznej, wśród krew w żyłach mrożącej przestrzeni, odzywa się słaby głos ludzki, a odpowiada mu czujne i przyjazne naszczekiwanie. To wyprawa komandora Byrd'a, wyprawa do południowego bieguna, jednego z tych nieustraszonych odkrywców, którzy, śladem Amundsena, Scotta i innych, co chwila zmagają się ze śmiercią, chcą właśnie groźnemu biegunowi jego tajemnicę wydrzeć. Wyprawa zakreśliła sobie szerokie zadanie, nie chodzi tu bowiem tylko o zatknięcie na najodleglejszej północy gwiaździstego, amerykańskiego sztandaru, ale o dokładne zbadanie nieznanego lądu pod względem geograficznym, geologicznym, klimatycznym, meteorologicznym i t. d.

Zaopatrzono ją więc obficie w potrzebne narzędzia, instrumenty i wszelkie pomoce naukowe. Pod osłoną olbrzymich lodowcowych barjer, mających nieraz do 5 tysięcy stóp długości, na lodowej skorupie niezmierzonej dotąd grubości, pobudowano kilka domków, w których rozlokowała się wyprawa. Tutaj postanowiono przebyć, osiem miesięcy trwającą, noc zimową. Długą, czarną, podbiegunową, mroźną noc.

Obok domków wzniesiono schronisko dla gromady psów, towarzyszących wyprawie. One tu przyciągnęły sanie z zapasami żywności, narzędziami i wszelkim sprzętem, nieodzownym dla wyprawy. Bez nich, tych wiernych i dzielnych towarzyszy i pomocników niepodobieństwem byłoby człowiekowi tu dotrzeć.

Na czele psiej gromady stanął duży, 12-letni policyjny pies Waldena, jednego z uczestników wyprawy, mądry i silny Chinook. Niezwykłą inteligencją obdarzonego psa używano w amerykańskich miastach do trudnych nieraz ekspedycji policyjnych.

Chinook zatrzymywał się posłusznie na gwizd świstawki policyjnej i doskonale wywiązywał się z zadanych mu poleceń.

I tu mądry pies poprowadził swych towarzyszy, popędzając opieszalszych, obiegając psy, zaprzężone w sanie i ostrzegając szczekaniem w razie trudnych przejść, gdzie każde najmniejsze zboczenie z właściwej drogi groziło niechybnem runięciem w otchłań

lodową. Cudownym instynktem wiedziony, Chinook odnajdywał zawsze właściwą drogę i oddał wyprawie nieocenione przysługi.

Pewnego dnia Chinook oddalił się od psiej gromady i więcej już nie powrócił. Staranne poszukiwania zostały bez rezultatu. Psa nie odnaleziono. Wyprawa poniosła dotkliwą stratę.

Mądry, dzielny przyjacielu, Chinooku, widać przeczuwałeś zbliżający się kres, kiedy odbiegłeś swych towarzyszy. Gdzieś daleko, daleko, miałki, biały śnieg przysypał twe stygnące ciało, a szklane, martwiejące oczy odbiły w sobie po raz ostatni obraz groźnej Arktantydy.

Wierny i czujny towarzyszu Chinooku, należysz do tej bezimiennej rzeszy sojuszników człowieka, którzy swe psie serce, psią wierność i zdolności oddają na rzecz zdobywców świata, ku pomnożeniu ich znaczenia i chwały. I ty też, skromny pracowniku, Chinooku, złożyłeś drobniutką cząsteczkę swego trudu w ogólnym wysiłku pracy ludzi i zwierząt.

ECHA

KATECHIZM POWSZECHNY UCZYĆ BĘDZIE DZIECI MIŁOŚCI DLA ZWIERZĄT.

— Wszechświatowej doniosłości czynu dokonał prezes Tow. Op. nad Zw. w Nantes, Dr. S. de Silvera. Niezmordowany ten działacz, którego wysoce humanitarne odezwy drukowaliśmy na tem miejscu w poprzednich numerach „Świata Zwierzęcego", w porozumieniu z arcybiskupem z Nantes, przesłał do Rzymu, do Ojca Świętego, *memorjał*, w którym zawarta była prośba, umotywowana potrzebą szczepienia uczuć humanitarnych w duszach ludzkich od dzieciństwa, *aby katechizm powszechny nakazywał narówni z innemi zasadami, miłość i litość dla zwierząt.*

Jego Em. Kardynał Gaspari w odpowiedzi na ów memorjał, przesłał na ręce Arcybiskupa z Nantes zawiadomienie, że sprawa ta przekazana została w Watykanie do rozpatrzenia specjalnej Komisji, przyczem zaznaczył pełne swoje oraz Jego Em. Kard. de la Motta — poparcie.

Wielka cześć całego świata katolickiego należy się Tow. Op. nad Zw. w Nantes za to, że, dzięki jego inicjatywie, dokonane zostanie dzieło tak wielkiej miary! Oto wkrótce już wszystkie dzieci świata katolickiego uczyć się będą w katechizmie powszechnym obowiązków humanitarnych względem zwierząt i wyrósłszy potem na ludzi dojrzałych, staną się dzięki temu, siłą rzeczy, dobrymi i sprawiedliwymi względem tak uciemiężonych dotąd „młodszych braci ludzkości".

(La Protection des Animaux).

DZIEŃ OCHRONY ZWIERZĄT W PRADZE CZESKIEJ.

— Pani M. Kuhn - Kulm, znana czeska literatka i członek zarządu „Czeskiego Związku Przyjaciół Zwierząt" w Pradze Czeskiej nadesłała do redakcji „Świata Zwierzęcego" krótki opis dnia ochrony zwierząt, który się tam odbył w czerwcu r. b. Opis ten podajemy dosłownie:

„W niedzielę, dn. 3 czerwca, odbył się w Pradze czeskiej drugi z rzędu, powszechny *Dzień Ochrony Zwierząt*, zorganizowany przez miejscowy Związek Przyjaciół Zwierząt.

Obchód zainaugurował imponujący pochód zwierząt, który przeciągnął przez główne ulice miasta i niczem nie ustępował pochodowi, który miał miejsce w czasie wszechświatowego Kongresu w Wiedniu, w maju. Sprzężone parami i przystrojone konie ciężarowe, w liczbie 80, które, grzmiąc kopytami, pięknie i dumnie, jak królowie, kroczyły szpalerem, utworzonym przez ludzi, — przedstawiały wzruszający widok dla serc ludzkich. Zwykle zwierzęta te idą ciężko obładowane, pokryte potem, robiące bokami — tego zaś dnia szły, jak panowie, a wielka liczba ludzi, prowadzących na smyczach swoje psy, tworzyła jakby ich świtę.

Skauci nieśli napisy takie, jak: „Pomóżcie nam ochraniać zwierzęta", „Precz ze zbytecznemi wiwisekcjami", „Przestańcie tępić psy", „Żądamy prawa ochrony zwierząt", — a względem koni: „Nie bądźcie obojętni na nasze cierpienia".

Na obszernym placu Katedralnym rozwinął się z pochodu radosny korowód ludzi i zwierząt (tradycyjnie, te zwierzęta, które w dniu ochrony zwierząt grzecznie szły w pochodzie, w nagrodę, mają prawo brać w tem udział), a licznie rozstawione namioty ze słodkim i solonym pokarmem dla nich bardzo prędko były ogołocone. Miłośnicy zaś zwierząt starali się zebrać wśród publiczności jaknajwięcej datków na potrzeby i dla dobra cierpiącego świata zwierzęcego i po obliczeniu wykazała się piękna sumka pieniędzy!

Dnia tego zwierzęta i ich opiekunowie mieli pełną satysfakcję a wiele osób, które wskutek braku zrozumienia, trzymały się zdala od idei opieki nad zwierzętami, obecnie przyłączyły się do szeregów przyjaciół zwierząt. Jest to najpiękniejsza nagroda za energiczną, bez wytchnienia, pracę jednego roku".

M. Kuhn - Kulm. Praha.

Edward Sosnowski
Inspektor dzielnicowy P. L. P. Z.

BROŃMY KATOWANYCH ZWIERZĄT!

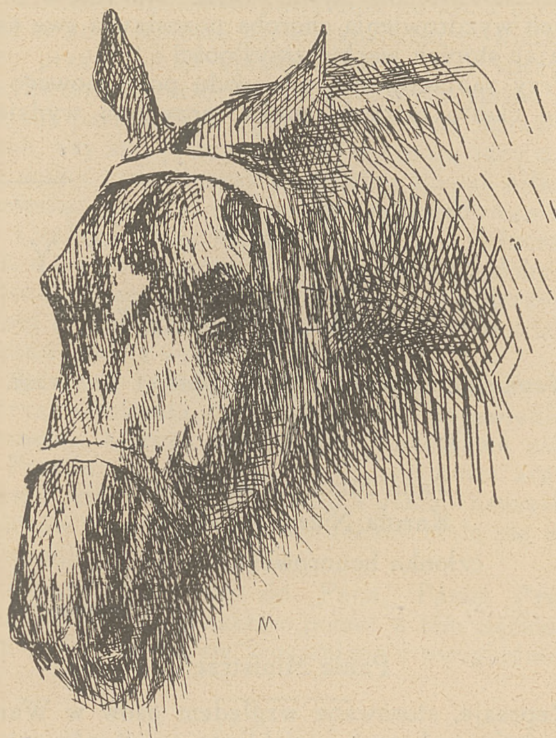
Odezwa do ogółu społeczeństwa.

— W dniu 4 marca 1929 r., przechodząc ulicą Czerniakowską, natknąłem się na jeden z licznych, niestety, wypadków, znęcania się człowieka nad nieszczęśliwym, bezbronnym koniem, który prawie, że zatracił swój kształt koński, taki był wychudzony, zgarbiony i tak miał zdeformowane nogi. Pokryty, pomimo mrozu, gęstą pianą potu z wysiłku, aby wyciągnąć wóz, przeładowany cegłą, którego koło zaryło się aż po oś w wyboju ulicznym, chłostany był w bestjalski sposób. Woźnica okładał tego konia razami bicza po głowie, szyi, piersiach, nogach, podbrzuszu oraz zadawał mu liczne ciosy pionowe grubym końcem kozicy, tak, że nie było wprost miejsca, któreby nie podlegało katowaniu.

Wmięszanie się moje w tę sprawę, położyło natychmiastowy kres zadawaniu ciosów nieszczęsnemu koniowi oraz spowodowało zebranie się licznego zbiegowiska ludzi, przeważnie mętów społecznych z ulicy Czerniakowskiej.

Wśród tłumu tego jednak, ku wielkiemu memu zdziwieniu i zadowoleniu, usłyszałem głosy współczucia dla niedoli zwierzęcej, które świadczyły, że uczucia humanitarne nie są jednak zatarte w sercu tych ludzi. Interwencja moja pobudziła ich do zastanowienia się nad popełnianem przez chwilą okrucieństwem i wywołała głosy protestu nad zadawaną krzywdą. Aby głosy takie coraz częściej dawały się słyszeć i rosły z dnia na dzień w moc i siłę, *trzeba, aby przykład naszego stawania w obronie krzywdy zwierzęcej przy każdej okazji się powtarzał, aby ogół ludzi to widział i pojął, że obowiązkiem każdego człowieka jest uczciwa opieka nad bezbronnem zwierzęciem.* Że jednym z dowodów kultury społecznej jest natychmiastowa obrona i niesienie pomocy naszym czworonożnym przyjaciołom i współpracownikom wszędzie, gdzie tylko tego zajdzie potrzeba.

Wystąpienie moje w obronie nieszczęsnego konia miało dwa poważne rezultaty. Było przykładem, że tak zawsze, w razie takiego zajścia, postąpić należy oraz obroniło konia przed zadawanemi mu razami



i ulżyło mu w pracy. Jako insp. dzieln. Polskiej Ligi Przyj. Zwierząt, zmusiłem woźnicę do zdjęcia z wozu połowy ładunku, a prócz tego wylegitymowałem go celem pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej w myśl paragrafu 4 rozporządzenia Pana Prezydenta Rzplitej Polskiej o „Ochronie Zwierząt".

Maurycy Trybulski.

CHOROBY ZAKAŹNE PSÓW

— Największą plagą hodowli psów jest: nosacizna i wścieklizna. *Nosacizna* jest chorobą zakaźną i napotyka się zarówno u psów, jak i u wszystkich gatunków dzikich kanidów; występuje ona również u kotów i małp. Najłatwiej zapadają na nosaciznę psy wydelikacone i słabo odżywiane, przyczem dla sztuk młodych choroba ta jest bardzo niebezpieczną, gdyż powoduje w wielu przypadkach 60 — 80 proc. śmiertelności. Zakażenie następuje przy zetknięciu się zwierząt zdrowych z choremi, pozatem zarazek może być przeniesiony ze sztuk chorych na zdrowe za pośrednictwem ich wydzielin, ściółki, jedzenia, wody i t. d. Jest dość rozpowszechnione wśród hodowców psów przeświadczenie, iż każdy pies musi przejść nosaciznę, co nie odpowiada rzeczywistości, o ile jednak dana sztuka przechodziła nosaciznę, pozostaje ona na długi czas uodpornioną przeciw tej chorobie; nie napotkano przynajmniej konkretnego wypadku powtórnego zakażenia.

Nosacizna występuje przeważnie w postaci *ostrego kataru dróg oddechowych,* istnieje pozatem *forma brzuszna,* to znaczy opanowany bywa przewód pokarmowy, wreszcie istnieje *forma wysypkowa.* Pozatem często są zaatakowane *oczy* oraz *system nerwowy.*

Najczęściej choroba rozpoczyna się podniesieniem

temperatury do 39,5 — 40 st. C., która utrzymuje się na tym poziomie przez czas dłuższy, przytem występują objawy zakatarzenia: z nosa płynie wysięk różnej konsystencji o niemiłym zapachu, zjawia się kaszel; z krtani przechodzi katar na tchawicę i oskrzela, a w cięższych wypadkach następują dalsze komplikacje w postaci zapalenia płuc, owrzodzenia oczu, porażenia systemu nerwowego. Oddech staje się częstszy, od 80 — 90 na minutę, przyczem zauważyć można charakterystyczne rozdymanie pyska i podniesienie temperatury do 42 st. C. Przy tego rodzaju przebiegu choroby śmiertelność bywa bardzo znaczna, a w wypadkach wyzdrowienia choroba pozostawia swe ślady, obniżając stopień węchu, zmyślności i t. d.

Przy zaatakowaniu przewodu pokarmowego występuje często ostra biegunka, przyczem wydzieliny stają się śluzowate, wodniste, nieraz z domieszką krwi; następuje kompletne wycieńczenie chorego psa i w rezultacie jego śmierć.

Rozstrój systemu nerwowego napotyka się niemal w 50 proc. wypadków tej choroby. Symptomaty rozstroju bywają różnorodne, jak to: drgawki oddzielnych członków, padaczka, a w cięższych przypadkach paraliż, poprzedzający śmierć chorego zwierzęcia. Niekiedy na brzuchu i wewnętrznej stronie ud pokazuje się czerwona wysypka; czerwone plamki przekształcają się w krosteczki wielkości prosa, które znów z kolei przeistaczają się w pęcherzyki ropiejące, pękające i rozlewające się po ciele. Objawom tym towarzyszy zazwyczaj febra.

W wypadkach lżejszych nosacizna trwa od 8 — 10 dni, w cięższych — 3 do 4 tylko dni. d. c. n.

Z ŻYCIA LIGI

MEMORJAŁY I ODEZWY.

Memorjał Polskiej Ligi Przyjaciół Zwierząt.

Do

Pana Ministra Rolnictwa,
Karola Niezabytowskiego,
członka honorowego P. L. P. Z.

w miejscu.

Panie Ministrze!

Represje, stosowane względem psów w Warszawie w imię rzekomej wścieklizny przybrały ostatnio tak dalece obostrzoną formę, że Polska Liga Przyjaciół Zwierząt jest wprost zasypywana zażaleniami i prośbami o interwencję. Nie polegając jednak na doniesieniach, Zarząd Ligi delegował swych inspektorów do poszczególnych dzielnic Warszawy, aby fakty sprawdzić na miejscu.

Niestety, wszystkie doniesienia okazały się prawdziwemi i Liga skonstatowała wprost masowe tępienie zdrowych psów na podstawie podejrzeń, że mogły się gdzieś zetknąć z psami zarażonemi. Naprzykład, o ile się zdarzy, że w domu jakimś pies kogoś ugryzł, zjawiają się hycle, szturmują do mieszkań wszystkich osób, posiadających zdrowe psy w tym domu, wywlekają nieszczęsne zwierzęta, chwytają je na stryki i, pomimo protestów właścicieli, zabierają do zakładu utylizacyjnego. Interesującym objawem jest to, że hycle najbardziej dokuczają ludności ubogiej, podczas, gdy psy zamożnych właścicieli wychodzą jakoś z opresji. Na barakach, np. w Żoliborzu Liga była świadkiem takiego połowu psów, gdy biednej kobiecinie, Leontynie Leszczyńskiej, utrzymującej za ostatnie grosze swego wiernego, czworonożnego przyjaciela — podczas jej nieobecności funkcjonarjusze zakładu utylizacyjnego zerwali kłódkę z jej izdebki, rozsypali mąkę z worka, rozrzucili wszystkie sprzęty i wreszcie psa zabrali. Koło baraków dzieci na podwórku szkolnem widziały, jak policjant z hyclami uganiał się za psami, chociaż niewiadomo, czy własnoręczne chwytanie psów jest stosowną rolą dla policji. W okolicach Warszawy dochodzi do tego, że policja objeżdża różne dzielnice i strzela do wszystkich napotkanych psów.

Wynika z powyższego, że posiadacz psa, chociażby trzymał stale wierne zwierzę w kagańcu i na smyczy, opłacając za nie regularnie podatki — nigdy nie jest pewien ani dnia, ani godziny, bo o ile ktoś niechętny doniesie np. policji, że w danej okolicy inny pies kogoś ugryzł — będzie to dostatecznym powotem, aby zdrowego psa, który nikogo nie ugryzł, zabrać do zakładu utylizacyjnego, albo zabić na miejscu.

Tymczasem zostało sprawdzone, że wściekliznę przynoszą do miasta psy, zbłąkane ze wsi. Należałoby zatem raczej wydać zarządzenia, aby psów wiejskich do miast nie wpuszczano, zamiast tępienia wszystkich zdrowych psów w samem mieście. Pozatem wściekliznę mogą roznosić koty i inne zwierzęta — więc albo trzeba byłoby wszystkie zwierzęta w mieście wytępić — albo też zacząć stosować metody racjonalne, wypróbowane zagranicą, gdzie psy spokojnie biegają po ulicach i ogrodach, a wścieklizna jakoś nie grasuje.

Aby w przyszłości uniknąć tych gorszących sposobów łapania psów, jakie są stosowane obecnie przed oczami młodzieży i gawiedzi ulicznej — Zarząd P. L. P. Z. zwraca się do Pana Ministra z prośbą o uprzejme wydanie przepisów wykonawczych w tym względzie, z oznaczeniem, w jakich wypadkach wolno zabierać psy i na podstawie czyich zarządzeń — bo należy przypuszczać, że policjant, asystujący przy łapaniu, powinien okazać na żądanie właściciela psa jakieś zarządzenie od starosty, czy też innej władzy, w żadnym zaś wypadku nie powinien się sam za psem uganiać, lub strzelać. Pozatem wątpliwem jest, aby strzelanie do zdrowego psa na miejscu było dozwolonem, chociażby ze względów na bezpieczeństwo publiczne.

W nadziei, że Pan Minister przychylnie się odniesie do naszej prośby, pozostajemy.

Z wysokiem poważaniem.

Memorjał do Pana Prezesa Sądu Okręgowego, Tadeusza Kamieńskiego w m., Nowowiejska 41.

Szanowny Panie Prezesie!

Okres powojenny, poświęcony szybkiej odbudowie zniszczonego kraju, nie pozwolił należycie wniknąć we wszystkie potrzeby życia państwowego, a tembardziej energicznie przeciwdziałać zdziczeniu, jakie zwykle następuje po tego rodzaju kataklizmach dziejowych. Nie odrazu też zauważono, jak dalece rozwielmożnił się nieszczycielski i barbarzyński element w Polsce. Bezmyślne, tępe okrucieństwo powoduje nieobliczalne szkody w mieniu krajowem: marnuje się konie przez bezmyślne zmuszanie ich do nadmiernych wysiłków, lub do galopowania przez dzień cały po kamiennym bruku pod gradem uderzeń, a najczęściej po głowie i oczach (w rezultacie czego w Polsce jest tak wielki procent koni ślepych i chorych, a skóra ich jest tak podziurawiona, iż traci wartość), marnuje się bydło i trzodę chlewną przy transportach, gdyż skutkiem zdziczenia poganiaczy, zwierzęta są tak zbite i pokaleczone, że słonina wieprzy naprzykład jest zupełnie krwią przesiąkniętą, osłabia się drób przez odzieranie go żywcem z pierza i t. p. — ale bodaj najgroźniejszym faktem jest szkoda moralna, wyrządzona społeczeństwu — bo okrucieństwo, zapoczątkowane na zwierzętach, doprowadza do zbrodni względem ludzi, krzewi w kraju zdziczenie i zaraża młodzież gorszącym przykładem.

Wystarczy przyjrzeć się obecnemu stanowi rzeczy, aby zrozumieć, jak dalece potrzebną jest w tej chwili placówka do walki z tem zdziczeniem i barbarzyństwem i jak bardzo zasługuje na poparcie zdrowy odruch, który stworzył Polską Ligę Przyjaciół Zwierząt, a właściwie mówiąc Ligę do zwalczania zdziczenia i barbarzyństwa w kraju.

Niestety ogół naszych obywateli nie potrafił jeszcze należycie ocenić konieczności walki z barbarzyństwem, praca zaś ludzi ideowych, ludzi poświęcenia i dobrej woli — staje się istną martyrologją przy obecnych warunkach, gdy zamiast ułatwienia ze strony współobywateli i władz rządowych, napotyka na niesłychane trudności.

Należy sobie uprzytomnić fakt, że na interwencję policji w wypadkach okrucieństwa nie można liczyć, że to ciężkie zadanie spada niemal całkowicie na barki takiej placówki humanitarnej, jak Polska Liga Przyjaciół Zwierząt.

A więc inspektorzy dzielnicowi P. L. P. Z. z niesłychanem poświęceniem starają się powstrzymać to rozpętanie dzikich instynktów, jakie ma miejsce przy budowach, przy transportach, na ulicy. Spisują protokóły na zwyrodniałych, pijanych woźniców, lub rozbestwionych poganiaczy — w rezultacie gradem się na nich sypią wezwania do sądu i nieraz wypada po parę wezwań na jeden dzień do różnych sądów, przyczem rozprawa ma miejsce w tak odległym terminie od daty wypadku, że wyrok traci swą wartość wychowawczą, a oskarżający nie może sobie przypomnieć szczegółów. Nie mogąc stawać codziennie w sądzie, kilku naszych inspektorów ponosiło już kary w łącznej wysokości stu kilkudziesięciu złotych, wielu wśród nich musiało się wyrzec tej ideowej pracy, wobec konieczności zarobkowania, bo przecież żadne biuro się nie zgodzi na ciągłą nieobecność pracownika.

W okresach przełomowych w życiu państwowem (przewrotach i t. p.) zarządza się zwykle stan wojenny. Otóż należy obecny okres uważać za wyjątkowy i przełomowy pod względem zdziczenia. Jest to żywioł, który, jak ogień, ogarnia kraj cały i dlatego metody walki z nim powinny być obostrzone. Głównym zaś warunkiem jest ułatwienie pracy ludziom, zwalczającym to barbarzyństwo i zdziczenie. W swoim czasie istniał urząd do walki z lichwą i spekulacją. Jeżeli obecnie niema możności powołania do życia urzędu do walki ze zdziczeniem i barbarzyństwem — wielką ulgą byłby przynajmniej uproszczony wymiar sprawiedliwości przez skoncentrowanie odnośnych spraw w jednym, lub paru sądach i grupowanie tych spraw w ten sposób, aby sąd je rozpatrywał np. parę razy na miesiąc, wobec czego inspektor mógłby stawać kilka razy na miesiąc, zamiast codziennego przesiadywania w sądzie i załatwiać po kilkanaście spraw jednorazowo. Oprócz tego skoncentrowanie spraw ułatwiłoby Lidze ewidencję przestępstw i kar, tak bardzo potrzebną dla ogólnej statystyki, zwłaszcza, gdy chodzi o odebranie np. prawa jazdy woźnicy i t. p.

Dnia 6-go czerwca 1928 r. Polska Liga Przyjaciół Zwierząt wystąpiła do Ministerstwa Sprawiedliwości z pismem, którego wyciąg przy niniejszym załączamy. Przytaczane w owym czasie przez nas argumenty sprawdziły się w całej pełni i praca naszych inspektorów przy obecnych warunkach stała się wprost nieznośną.

Zwracamy się więc do Pana, Panie Prezesie, w nadziei, że prośba nasza o pomoc w tem ciężkiem zadaniu będzie należycie zrozumianą i uwzględnioną.

Do

Pana Naczelnika Sądu Grodzkiego

w Warszawie.

Zawiadamiam, że Kolegjum Administracyjne Sądu Okręgowego na posiedzeniu w dniu 1 czerwca r. b. po rozpatrzeniu wniosku Pana Naczelnika z dnia 2 marca r. b. Nr. 569, postanowiło w myśl par. 103 Rozporządzenia z dnia 24 grudnia 1928 r., (Dz. U. Nr. 104) wszystkie sprawy o znęcanie się nad zwierzętami z terytorjum Warszawy kierować do 9 Oddziału, powierzonego Panu Naczelnikowi Sądu Grodzkiego, zaś wszystkie tego rodzaju sprawy z terytorjum Pragi do Oddziału III-go Sądu Grodzkiego na Pradze w Warszawie.

w z. Prezes Sądu (—) *Rozprza.*
Naczelny Sekretarz (—) *W. Sikorski.*

Przyp. Red. Przychylenie się Pana Prezesa Sądu Okręgowego do prośby, zamieszczonej w przytoczonym memorjale, jest jednym z dowodów, że nasze sfery rządzące przy należytem przedstawieniu sprawy chętnie idą z pomocą zamierzeniom ideowym a w danym przypadku stanowić to będzie poważne ułatwienie naszej pracy, co uważamy za posunięcie wielkiej doniosłości.

Do

Komendy Głównej Policji Państwowej

w miejscu.

W okresie Wielkiego Tygodnia zaszedł w Zielonce pod Warszawą fakt następujący: Do willi pp. Wyszyńskich pod nazwą „Polanka" na ulicy Sienkiewicza wszedł policjant Patropny; ponieważ pies, należący do pp. Wyszyńskich zaczął szczekać na obcego mu policjanta, od którego zresztą w chwili tej był oddzielony parkanem, policjant Patropny strzelił do psa, raniąc go. Po wypadku tym pies zdechł w ciągu kilku dni. Świadkiem tej sceny była p. Stefanja Mikiel, zamieszkała w Zielonce.

Ponieważ Patropny znany jest mieszkańcom Zielonki z tego, że stale prześladuje koty i psy, strzelając do nich, uprzejmie prosimy o ukaranie go za wyżej wymieniony fakt.

Do

Polskiej Ligi Przyjaciół Zwierząt

w miejscu.

Al. Szucha 7.

W załatwieniu pisma z dn. 16 kwietnia r. b. Nr. 243 zawiadamiam uprzejmie, że posterunkowy Patropny za samowolne zastrzelenie psa w Zielonce został pociągnięty do odpowiedzialności dyscyplinarnej.

Jednocześnie poleciłem Komendantowi Wojewódzkiemu wydać odpowiednie pouczenie Komendantowi P. P. w Warszawie.

Komendant Główny Policji Państwowej
w z. (—) *H. Wardęski*, nadinspektor.

Do

Komisarjatu Rządu na m. st. Warszawę

w miejscu.

Polska Liga Przyjaciół Zwierząt zwróciła się ostatnio do Wydziału VI Zdrowia z prośbą o wyciąg z przepisów, obowiązujących przy otwieraniu i utrzymywaniu stajen. Niestety, jak się okazało, lekarze okręgowi takich przepisów nie posiadają i Wydział nie umiał wskazać, gdzie takie przepisy można znaleźć. Zarząd P. L. P. Z. prosi więc uprzejmie o wskazanie, do kogo można się udać w sprawie tych przepisów, ewentualnie, o łaskawe przesłanie nam 1 egzemplarza tych przepisów.

Jednocześnie, powołując się na pismo Komisarjatu Rządu z dn. 13-go lutego 1928 r. Pr. 754-G28, będące odpowiedzią na list nasz z dn. 24 stycznia r. ub. za Nr. 116, komunikujemy, że dotychczas nie otrzymaliśmy żadnego zawiadomienia o otwieraniu jakichkolwiek bądź stajen. Czyżby to miało oznaczać, że od owego czasu do dnia dzisiejszego nowych stajen nie otwierano?

Odpis pisma Komisarjatu za Nr. 754 przy niniejszym załączamy.

Z POSIEDZEŃ ZARZĄDU

— Na posiedzeniu Zarządu P. L. P. Z. z dnia 6 i 21 maja załatwiono sprawy następujące:

Przyjęto 19 członków rzeczywistych, 8 popierających i protektora. Skompletowano materjał na Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu, składający się z kolorowych afiszów i wykresów graficznych i uchwalono umieścić ogłoszenia o Lidze w katalogach Wystawy, Kalendarzu Hodowlanym i t. p., po zbadaniu cen i warunków.

Odczytano krótkie sprawozdanie z dokonanych ostatnio inspekcji na pl. Kercelego i w VII i VIII komisarjacie, w rezultacie których opieczętowano kilka koni, skierowano 5 protokółów do sądu i dokonano przeglądu 80 zwierząt w stajniach i oborach. Również przyjęto do wiadomości sprawozdanie z inspekcji, dokonanej dn. 16-go maja na targowisku końskiem na Grochowie.

Sprawozdanie z Kongresu w Wiedniu zdawali poszczególni członkowie delegacji w osobach: p. bar. Z. Kosińskiej, Redaktora „Świata Zwierzęcego" p. J. Maszewskiej - Knappe i Prezesa Zarządu p. R. Mandelskiego. Delegacja P. L. P. Z. była owacyjnie przyjmowana na obradach Kongresu, a sprawozdanie z krótkiego, lecz owocnego okresu działalności Ligi oraz opracowane przez Zarząd projekty ustaw i przepisów wykonawczych były stale podziwiane i podkreślane przez delegatów państw obcych. Delegacji P. L. P. Z. udało się nawiązać kontakt z całym szeregiem przedstawicieli T-stw Ochr. Zwierząt zagranicą, którzy wyrażali podziw dla prac Ligi w Polsce. Ustawa polska o Ochronie Zwierząt, tłomaczona na język francuski, była rozchwytana i zrobiła ogromnie dodatnie wrażenie na członkach Kongresu i na austrjackich władzach państwowych. Referat red. J. Maszewskiej - Knappe był wielokrotnie przerywany oklaskami, a ustępy o stosunkach, panujących w ustawodawstwie polskiem, okrzykami zadowolenia. W czasie przerw między obradami delegacja interesowała się pracą koni w Wiedniu, typami wozów, uprzężą, schroniskiem i lecznicą dla psów i kotów. Stwierdzono, że jazda kłusem wozów ładownych a nawet bez ładunku jest zabroniona i że woźnica ściśle stosuje się do tych przepisów. Baty są krótkie i służą raczej do dekoracji wozu. Z chwilą naładowania wozu furmani idą pieszo przy koniach. Chociaż ulice są przeważnie wyłożone asfaltem, konie, kute na ostro, nie psują bruków asfaltowych, wobec przepisów, zabraniających jazdy kłusem wozami ciężarowymi. Schronisko dla psów i kotów jest prowadzone wzorowo; wszystkie klatki wysłane wełną drzewną. Są miejsca spacerowe, przy schroniskach dla psów, a siatki na dachach budynków pozwalają na wypuszczanie kotów. Z wyglądu psów i kotów oraz okazywanego zadowolenia i radości tych zwierząt delegacja stwierdziła, że obsługa schroniska dobrze spełnia swe zadanie.

Delegacja P. L. P. Z. była przyjęta na specjalnej audjencji przez Posła Polskiego w Wiedniu p. Badera, który bardzo interesował się działalnością Ligi w Polsce, wyrażając uznanie dla podjętych prac, oraz życzenia powodzenia na drodze ochrony zwierząt. Audjencja trwała około godziny, w ciąku której

poruszono wiele spraw aktualnych. Delegacja stwierdziła z całem uznaniem, że Poseł polski, p. Bader jest doskonale zaznajomiony ze sprawami ochrony zwierząt i interesuje się niemi, mimo wielu prac, związanych z reprezentacją Rzplitej Polskiej.

Przewodniczący zaznaczył, że delegaci Ligi pokrywali z własnej kieszeni koszty podróży i pobytu w Wiedniu, bez narażenia Ligi na wydatki.

Bar. Z. A. Kosińska — zaoszczędzone na pobycie w Wiedniu 100 szylingów przeznaczyła na cele Ligi.

Na posiedzeniach Zarządu P. L. P. Z. z dn. 3-go i 17 czerwca załatwiono następujące sprawy:

Przyjęto 55 członków rzeczywistych, 11 popierających i 1-go protektora.

Odczytano sprawozdanie z inspekcji, dokonanych pod przewodnictwem prezesa zarządu, a mianowicie: dziennej, na placu Kercelego, (zabrano 16 ptaków leśnych) i nocnej w obrębie m. Warszawy, podczas której dokonano oględzin 263 koni dorożkarskich i ciężarowych, z której to liczby odesłano do lecznicy 14 koni, natomiast 6 koni opieczętowano.

Odczytano list p. Skoraczewskiej — de la Bruyere w sprawie dokonywanych w średnich zakładach żeńskich doświadczeń nad zwierzętami (wiwisekcji) i postanowiono wystąpić do Kuratorjum okręgu Warszawskiego z prośbą o zakazanie tych doświadczeń.

Postanowiono, za pośrednictwem Komendy P. P. m. Warszawy wyrazić podziękowanie posterunkowym pp. L. Slesieckiemu (Nr. 2423/13 kom.) i F. Podgórskiemu (Nr. 1015/9 kom.) za gorliwą opiekę nad zwierzętami.

Zatwierdzono sprawozdanie kasowe za maj.

Przyjęto do wiadomości sprawozdanie przewodniczącego z dwukrotnych konferencji z wiceprezydentem Rady Miejskiej, p. Majzlem w sprawie targowisk, rzeźni, zakładu utylizacyjnego i zapomogi dla Ligi. Delegacja Ligi, złożona z prezesa zarządu p. R. Mandelskiego, bar. Z. A. Kosińskiej i p. A. Felsa wypowiedziała wyrazy uznania dla uprzejmości p. Majzla, który z prawdziwem zainteresowaniem się i życzliwością omawiał poszczególne sprawy, obiecując swą pomoc i poparcie w Radzie Miejskiej.

Stwierdzono, że Luna Park, znajdujący się w sąsiedztwie Ogrodu Zoologicznego wpływa bardzo ujemnie na spokojne życie zwierząt, przeszkadzając im ustawicznym hałasem i hukiem. Pomieszczenia dla wilków, niedźwiedzi i szakali są nieodpowiednie pod względem powierzchni i niedostosowane do normalnych warunków życia tych zwierząt. W przegrodzie dla jeleni drzewa okolone są drutem kolczastym, przez co jelenie są narażone na okaleczenia, papugi zaś umocowane są na zbyt krótkich łańcuchach, co uniemożliwia im swobodę ruchów. Wogóle stwierdzono brak należytej opieki nad zwierzętami.

Wobec licznych skarg na Zakład Utylizacyjny przeprowadzona inspekcja wykazała, że w tym zakładzie nastąpiło znaczne polepszenie warunków i że wprowadzono inowacje w klatkach dla psów. Wobec powyższego, na wniosek prezesa, uchwalono wyrazić podziękowanie Dyrektorowi Zakładu Oczyszczania miasta za uwzględnienie postulatów Ligi.

Postanowiono zwrócić się do starostwa w sprawie łapania psów w Falenicy, aby hycle, zajmujący się łapaniem psów mieli odpowiednie pomieszczenia na przetrzymywanie psów w terminie przewidzianym (t. j. 3 dni) od czasu zgłoszenia się prawego właściciela psa po odbiór.

DZIAŁALNOŚĆ INSPEKTORÓW DZIELNICOWYCH P. L. P. Z.

Od dnia 10 maja do dnia 1-go lipca 1929 r.

Protokółów do sądów grodzkich wysłano 91, do komisarjatów Pol. Państw. 28, opieczętowano koni 67, w sądach grodzkich rozpatrywano spraw 26, skazując na kary winnych znęcania się nad końmi od 20 zł. do 100 zł. z zamianą na areszt od 4 do 14 dni.

Powyższe protokóły zostały sporządzone przez następujących inspektorów dzielnicowych P. L. P. Z. pp.: A. Felsa, H. Wiercińską, T. Kaczorowską, Z. de la Bruyere, Z. Pruską, J. Pasternaka, N. Sosnowskiego, W. Nowaka, A. Chmielewskiego, J. Faszczewskiego A. Kirylca, J. Bacciarellego, S. Chludzińskiego, oraz członków P. L. P. Z. pp. J. Szteklównę, J. Bednajeff, A. Jawornickiego, Z. Pogonowskiego, J. Konopińskiego.

Pod przewodnictwem prezesa P. L. P. Z., p. R. Mandelskiego oraz inspektorów dzielnicowych p. p. A. Felsa, A. Chmielewskiego, S. Kosińskiego, S. Moczulskiego, J. Pasternaka, E. Sosnowskiego i W. Nowaka, przy asyście posterunkowych Pol. Państwowej Nr. 1384 i 3229 dnia 29 maja b. r. o godz. 21 m. 30 dokonana została inspekcja koni na terenie m. st. Warszawy. Skontrolowano 349 koni, z których opieczętowano 8 koni odparzonych lub kulawych, skierowano do lecznicy P. L. P. Z. 21 koni pod nadzór lekarski; 9 dorożkarzy ukarano mandatami doraźnemi, pobraniem przez post. P. P. za jazdę kłusem, oraz sporządzono 7 protokółów do sądów grodzkich za znęcanie się nad końmi. Inspekcja została zakończona o godzinie 1-ej w nocy.

Oprócz powyższej inspekcji dokonano w dniu 15 i 22 czerwca b. r. pod przewodnictwem prezesa P. L. P. Z. p. R. Mandelskiego oraz inspektorów dzielnicowych pp. Józefa Pasternaka i Wacława Nowaka lotnej inspekcji koni na terenach I-go, II-go, VI-go, VII-go, X-go i XIV-go komisarjatu P. P. m. st. Warszawy. Rezultatem było skontrolowanie około 150 koni, z których dwa odparzone na kłębie pod chomontem opieczętowano, a 12 skierowano do lecznicy P. L. P. Z.

S. O. S.

Zarząd Polskiej Ligi Przyjaciół Zwierząt zwraca się z gorącą prośbą do członków i tych wszystkich, dla których niedola zwierząt nie jest obojętną, aby zechcieli pod adresem Zarządu nadesłać wiadomości o stajniach do wynajęcia. Sprawa jest bardzo pilna, gdyż zabraniają w lecznicy, na podwórku, robić opatrunki. Przeszło 300 koni już przyjęto, mimo ciasnoty, a do leczenia pozostaje rocznie około 2.000 sztuk. Szukajcie, drodzy czytelnicy, a konie będą Wam serdecznie wdzięczne.

ZAWIADOMIENIE

— Członka redakcji „Świata Zwierzęcego", oraz członka P. L. P. Z., znanego naszym czytelnikom autora artykułów, drukowanych na łamach naszego pisma, D-ra Stanisława Koźmian - Rejchera z Targowisk (Małopolska) dotknął ciężki cios życiowy. Dnia 30 czerwca r. b. zmarła żona jego, ś. p. Marja Koźmian-Rejcherowa.

Pogrzeb odbył się w Miejscu Piastowem dn. 3 lipca r. b. Okrytemu żałobą Dr. S. Koźmian - Rejcherowi składamy słowa głębokiego współczucia.

OFIARY

Na schronisko dla zwierząt.

Delegatka P. L. P. Z. na Międz. Kongres. Tow. Ochr. Zwierząt w Wiedniu, *Z. A. K.* zaoszczędzone w podróży — 100 szylingów.

P. Wydmuch — 12 obrazków oraz — 30 zł. pol.

Szczęśliwe pieski: Mimitka, Fifitka, Lilitka, Kekcio, dla nieszczęśliwych piesków, swych braci, składają — 5 zł.

A. F. R. Przysłane z Anglji, z Londynu, zebrane przez osoby zainteresowane działalnością polskiej placówki Ochrony Zwierząt, jaką jest w Warszawie P. L. P. Z. funtów szterlingów 8, t. j. 345 zł. 20 gr.

Na chloroform dla usypiania zwierząt.

Na humanitarne usypianie bezdomnych i nieuleczalnie chorych psów i kotów z gorącą prośbą, aby dobrzy ludzie nie opuszczali w nieszczęściu najlepszych swoich przyjaciół G. K. M. — 24 zł.

LOTERJA FANTOWA P. L. P. Z.

— Polska Liga Przyj. Zwierząt (Aleja Szucha Nr. 7) *urządza na jesieni dużą loterję fantową, z której dochód obrócony będzie na najpilniejsze potrzeby Ligi.* Prosimy zatem gorąco naszych czytelników o składanie fantów do Biura Ligi — Aleja Szucha Nr. 7 (godz. 5 — 7 wiecz.).

OD REDAKCJI

Gosposiom naszym przypominamy, że ryby i raki mają również poczucie bólu. Okrucieństwem jest gotować żywe raki powoli, zamiast zabić je momentalnie, zalawszy je wrzątkiem. Również *okrucieństwem jest krajać i skrobać ryby żywe. Należy je* trzymać póty w wodzie, póki są żywe a przed przygotowaniem do gotowania *zabić uderzeniem w głowę.*

—:-:—

— *Wszyscy członkowie P. L. P. Z. proszeni są o nadsyłanie składek na 1929* r. przekazem na P. K. O. Nr. konta 15,195, względnie o wpłacenie do kancelarji A. Szucha Nr. 7, godz. 5 — 7 wieczorem *oraz o zapisywanie się na listę prenumeratorów „Świata Zwierzęcego".*

—:-:—

Żetony P. L. P. Z. są do nabycia *w Biurze Polsk. Ligi Przyj. Zwierząt w Warszawie, Aleja Szucha Nr. 7 (tel. 59 - 32)* w cenie: ze zwyczajnego metalu po 50 groszy, srebrne zaś po 2 zł. sztuka.

—:-:—

Prosimy naszych czytelników o reklamowanie „Świata Zwierzęcego" i o dostarczanie nam ogłoszeń w celu poparcia materjalnego i umożliwienia rozwoju naszej placówki.

—:-:—

— *Redakcja artykułów nie zwraca i zastrzega sobie prawo przeróbek.*

—:-:—

Upraszamy o wpłacanie prenumeraty za pismo przekazem na P. K. O. Nr. Konta 15.195, względnie o wpłacanie do kancelarji Al. Szucha Nr. 7, godz. 5 - 7 wieczorem.

Obecny numer podwójnej objętości wydano za lipiec i sierpień, następny numer normalny wyjdzie 1-go września.

WARUNKI PRENUMERATY: w Warszawie rocznie zł. 5.—, półrocznie zł. 2.50; na prowincji rocznie zł. 6.—, półrocznie zł. 3.— Zagranicą rocznie (z przesyłką) zł. 10.—. Dla członków P. L. P. Z. w Warszawie rocznie zł. 3.—, półrocznie zł. 1.50, na prowincji rocznie zł. 4.—, półrocznie zł. 2.—. Konto czekowe P. K O. 15195.

Redakcja czynna codziennie, oprócz niedziel i świąt, od godziny 10 do 11 i od 4 do 5. Administracja—od godz. 5 do 7 wiecz

Redaktor: **Janina Maszewska-Knappe.**

Wydawca: **Polska Liga Przyjaciół Zwierząt** — w osobie prezesa **Romualda Mandelskiego.**

Drukarnia Artystyczna, N.-Świat 47, tel. 35-80 i 35-83.



Redaktor **Janina Maszewska-Knappe.**

Wydawca **Polska Liga Przyjaciół Zwierząt** — w osobie prezesa **Romualda Mandelskiego.**

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, N.-Świat 47, tel. 35-80 i 35-83.